

# LAISSEZ FAIRE

PISMO KONSERWATYWNO-ANARCHISTYCZNE

NUMER 7, MARZEC 2007

www.mises.pl

 **INSTYTUT  
MISESA**  
Fundacja Instytut Ludwiga von Misesa

## PIERWSZA KOLUMNA

Snucie opowieści jest potężnym środkiem kulturotwórczym. Wprawdzie dzisiejsze bajki pochodzą niemal wyłącznie z migającego ekranu telewizora, a ich symbolika i alegoryczny przekaz są w trosce o przeciętnego widza spłycone do granic możliwości, ale nikt nie zaprzeczy chyba przemożnemu wpływowi, jaki ma snucie opowieści na skuteczne zakomunikowanie danego przekazu.

Świetnie o tym wiedzą specje od marketingu. Zaprojektowane przez nich reklamy proszków do prania nie podają po prostu statystyk i nie starają się obiektywnie, naukowo dowieść skuteczności takiego czy innego artykułu, lecz opowiadają historię niezgrabnego mężczyzny, który poplątał się winem lub gospodyni, do której zjechała na weekend siostra z gromadką małych brudasów. Obojgu na ratunek przychodzi oczywiście proszek X, który w magiczny sposób usuwa trudne plamy i wybawia bohaterów z opresji.

Deirdre McCloskey powiada, że wszystko jest w gruncie rzeczy pewną opowieścią, w szczególności zaś Prawda, którą chcemy przekazać innym. To, co dokładnie mówimy jest więc w pewnym sensie mniej istotne z punktu widzenia interlokutora niż to, w jaki sposób mówimy. Innymi słowy, czy historia, którą opowiadamy – np. o popycie i podaży, socjalizmie, wolnej woli i liberalizmie – jest ciekawa i przekonująca. Choć można mieć (uzasadnione) wątpliwości co do radykalnych obserwacji McCloskey, to niewątpliwie zwraca ona uwagę na niebłahy problem. Otóż, skoro rzeczywisty bieg wydarzeń społeczno-politycznych jest w gruncie rzeczy swoistą opowieścią, to literackie przypowieści, bogate w alegorie, symbole i archetypy, są równie dobrym środkiem do wypowiedzania ważkich prawd na jego temat, jak traktaty filozoficzne. Co więcej, tak jak reklamy nadają kontekst naszym wyobrażeniom o pięknie, brzydocie czy „perfekcyjnej czystości”, podobnie opowieści mogą nadawać literacki kontekst naszym ideom filozoficzno-politycznym. I na to właśnie chcieliśmy szcze-

gólnie zwrócić uwagę w tym numerze *Laissez Faire*, dyskutując o poglądach i pisarstwie Johna Ronalda Reuela Tolkiena.

Juliusz Jabłecki  
redaktor naczelny

## SPIS RZECZY

### Idee

- Alberto Mingardi  
– *Tolkien przeciwko władzy*..... 2  
Jakub Z. Lichański  
– *J.R.R. Tolkien jako apologeta anarchokonserwatyzmu?* ..... 5  
Juliusz Jabłecki  
– *Opowieści o Atlasach i hobbitach, czyli którą do Hoppeladonii* ..... 8

### Problemy

- Karol Lew Pogorzelski  
– *Maurycy hrabia Beniowski – odkrywca non grata* ..... 12  
Andrzej Fiderkiewicz  
– *Eurosauron i hobbici*..... 14  
drakShyasi  
– *Ponowoczesność a szanse na europejski renesans etnokulturowy*..... 15

### Kultura

- Łukasz Kowalski  
– *Przez ciemne zwierciadło*..... 17

### Polemika

- Mateusz Machaj  
– *Turpizm i kult obrzydliwości w Boracie* ..... 20

Copyright © 2007  
by Fundacja Instytut  
im. Ludwiga von Misesa

**Redaktor naczelny:**  
Juliusz Jabłecki

**Zastępca redaktora  
naczelnego:**  
Karol Lew Pogorzelski

**Redaktor techniczny:**  
Mikołaj Barcentewicz

„Laissez Faire” ukazuje się jako miesięcznik. Poglądy prezentowane przez autorów nie muszą się pokrywać ze stanowiskiem Instytutu Misesa.

www.mises.pl  
mises@mises.pl

Ten numer „Laissez Faire” ukazał się dzięki pomocy Pana Dariusza Szumiły.

Za pomoc w korekcie dziękujemy Janowi Falkowskiemu.

Listy do redakcji oraz propozycje artykułów prosimy przysyłać na adres: redakcja@mises.pl.

# Idee

## Tolkien przeciwko władzy\*

Alberto Mingardi

W głosowaniu przeprowadzonym w 1997 r. przez brytyjski Channel 4 i sieć księgarni Waterstone's czytelnicy uznali *Władcę pierścieni* J.R.R. Tolkiena za „największą książkę stulecia”. Klienci ankietowani przez Amazon.com poszli dalej, wybierając ją „największą książką tysiąclecia”. Ostatnio zaś ogromną widownię przyciągnęła ekranizacja *Drużyny pierścienia* w reżyserii Petera Jacksona. Niektórzy widzą we *Władcy pierścieni* jedynie dziecinną historyjkę, ale dla milionów ludzi na całym świecie okazał się on przyjemną i inspirującą lekturą.

Skrajni zwolennicy ochrony środowiska próbowali zaliczyć Tolkiena do swoich szeregów, skupiając się chociażby na jego szczerym uwielbieniu przyrody. Lecz jeśli to jedynie miłość do natury ma czynić człowieka „zielonym”, to tacy ludzie jak Ludwig von Mises również powinni byli sympatyzować z tym ruchem. Faktycznym celem Tolkiena, na co zwraca uwagę Justin Raimondo, nie było skrytykowanie przemysłu czy kapitalizmu jako takich, ale pokazanie ekspansji zła, której skutki dotykają nawet krajobrazu. Dlatego właśnie obniżenie walorów estetycznych środowiska jest odbiciem złych rządów, czyli używania władzy.

Tutaj dochodzimy do właściwego rozumienia tematu powieści – mówi ona o złu, płynącym z władzy. A precyzyjniej – opowiada się przeciwko władzy, ale nie „władzy ekonomicznej” czy „społecznej”, ale przede wszystkim władzy politycznej (której krytyka jest również centralnym motywem tradycyjnej myśli liberalnej). Było to wyjaśniane, przy różnych sposobnościach, przez samego Tolkiena:

Jeśli chcesz, możesz przerobić „Pierścień” na alegorię naszych własnych czasów – alegorię nieuniknionego losu, który spotyka wszystkie próby pokonania złej władzy – władzą<sup>1</sup>.

(...)we wszystkich tych opowieściach, władza jest zawsze złowieszczym i groźnym słowem<sup>2</sup>.

Opowieść jest skonstruowana na zasadzie przeciwieństwa dobra i zła, piękna przeciwstawionej bezwzględnej brzydocie, tyranii przeciwstawionej władzy królewskiej, kontrolowanej wolności przeciwstawionej przymusowi, który już dawno utracił jakikolwiek cel oprócz samej władzy<sup>3</sup>.

W mojej opowieści tym, który do całkowitego zła zbliżył się najbardziej jak to tylko możliwe, był Sauron. Przeszedł drogę wszystkich tyranów – zaczął dobrze, a przynajmniej kiedy pragnął uporządkować wszystko zgodnie ze swoją własną mądrością, wciąż początkowo miał na względzie (gospodarczy) dobrobyt mieszkańców Ziemi. Będąc jednak duchem nieśmiertelnym (anielskim), w dumie i żądzy władzy zaszedł dalej niż ludzcy tyran<sup>4</sup>.

Oczywiście moja opowieść jest Alegorią nie potęgi atomowej, ale Władzy (wykorzystywanej dla Dominacji)<sup>5</sup>.

Możemy zatem stwierdzić, że *Władca pierścieni* beletryzuje dewizę Edmunda Burke'a: „Na próżno mówicie mi, że nienaturalny rząd jest dobry, a ja nie zgadzam się wyłącznie na nadużycia. On sam w sobie jest nadużyciem!”. To właśnie stara się wyrazić i udramatyzować Tolkien w powieści liczącej ponad 600 000 słów.

*Władca pierścieni* jest epickim opisem wędrówki podjętej dla zniszczenia Jedyne Pierścienia, symbolizującego władzę – co staje się jasne, gdy zrozumiemy, że Pierścień nie tylko ją daje, ale również narzuca poddaństwo swojemu właścicielowi, który otrzymuje niezwykłą potęgę, lecz jednocześnie staje się niewolnikiem.

Ta dwoista sytuacja jest metaforą tego, co rozgrywa się w naszym świecie każdego dnia: władcy, nawet idealisci o dobrych intencjach, są jednocześnie władanymi. Władają nimi konsensus i zachłanny głód, nakazujący zdobywać jeszcze więcej władzy, niż mieli dotąd. Pań-

<sup>3</sup> Tamże, s. 268. Polskie tłumaczenie wydaje się nie do końca oddawać myśl zawartą w oryginale. „Przymusowi” (ang. *compulsion*) Tolkien przeciwstawia bowiem „moderated freedom with consent”. Tego samego słowa używa we *Władcy pierścieni* w odniesieniu do hobbitów i Shire, a tłumaczka, Maria Skibniewska przełożyła je na „powściągliwość”. Nie chodzi więc o „kontrolowaną wolność”, lecz najprawdopodobniej o uniknięcie posądzenia o sympatyzowanie z lewicową ekstremą – przyp. red.

<sup>4</sup> Tamże, s. 364.

<sup>5</sup> Tamże, s. 368.

<sup>1</sup> J.R.R. Tolkien, *Listy*, Poznań 2000, s. 183.

<sup>2</sup> Tamże, s. 229.

\* Oryginał dostępny na stronie <http://www.mises.org>. Tłumaczenie: Maciej Jaworski.

stwo nigdy nie stało się państwem minimum, którego oczekiwali myśliciele liberalni, ponieważ ludzie, którzy mieliby być odpowiedzialni za ograniczanie władzy państwa, nigdy jej nie ograniczają. Politycy, i w ogóle wszyscy władcy, zawsze pragną stać się jeszcze ważniejsi i bardziej poważani. Krótko mówiąc – pragną większej władzy.

Nie ma znaczenia, jak poruszających słów używa polityk, aby legitymizować swoje działania; i tak znajduje się w błędnym kole. Wiele lat temu Edmund Burke stwierdził: „Spytajcie polityków, jakie były pierwotne cele uchwalonych ustaw, a odpowiedzą, że uchwalono je, aby chronić biednych i słabych (...). Trudno o bardziej niedorzeczną hipokryzję”.

Taki pogląd był bliski Tolkienowi. Faktycznie poszedł on jednak o krok dalej, twierdząc:

Moje poglądy polityczne coraz bardziej skłaniają się ku anarchii (w rozumieniu filozoficznym, w którym oznacza ona zniesienie wszelkiej kontroli, nie zaś męczyzn z bobobrodami podkładających bomby) – lub ku monarchii „niekonstytucyjnej”. Aresztowałby każdego, kto używa słowa „państwo” (w jakimkolwiek innym znaczeniu niż nieożywione królestwo Anglii i jego mieszkańcy: rzecz pozbawiona władzy, praw, rozumu); a po daniu mu szansy odwołania swoich poglądów, gdyby okazał się uparty, straciłbym go!<sup>6</sup>

W wizji Tolkiena władza jest zawsze zła, dobra władza nie może istnieć<sup>7</sup>. Od samych początków Pierścień należy do dobrych bohaterów, i ponieważ jest on najpotężniejszą bronią na świecie, wielu z nich pyta, dlaczego nie można by go użyć przeciwko Sauronowi, Władcy Ciemności. Mimo że Pierścień został przez niego wykuty i bez wątpienia jest tworem złym, sądzą, że mógłby przecież posłużyć do dobrego celu. W ten sposób Tolkien stawia pytania: czy cel uswięca środki? Czy można osiągnąć dobry cel, stosując złe środki? I odpowiada, że nie – złe środki mogą doprowadzić jedynie do złego zakończenia, niezależnie od tego, czy pierwotne intencje były szlachetne.

Gdy Frodo ofiarowuje Pierścień mądrymu Gandalfowi, ten wykrzykuje:

Nie! (...) Gdybym do własnych sił dołączył jego moc, rozporządziłbym zbyt wielką, straszliwą potęgą, a Pierścień zyskałby nade mną władzę tym większą, tym bardziej zabójczą. – Oczy Gandalfa rozbłysły, cała twarz spłonęła się, jakby od wewnętrznego ognia. – Nie kuś mnie! Bo nie chcę stać się podobny do Władcy Ciemności. A przecież Pierścień trafia do mojego serca poprzez litość, litość dla

słabszych; pożądam siły po to, by czynić dobrze. Nie kuś mnie! Nie śmiem go wziąć, choćby tylko na przechowanie, nie do użytku<sup>8</sup>.

Frodo proponuje pierścień również Galadrieli, królowej Elfów. Ona także odmawia. Oto jej słowa:

Nie wypieram się, że gorąco pragnęłam poprosić o to, co mi ofiarowałeś. Od wielu lat rozmyślałam, czego bym dokazała, gdybym dostała w swoje ręce Wielki Pierścień, i oto przyniosłeś go! Wystarczyłoby mi po niego sięgnąć! Zło, z dawna uknute, działa na rozmaite sposoby, niezależnie od tego, czy Sauron tryumfuje czy upada. Przyznaj, że byłby to szlachetny czyn do policzenia między zasługi Pierścienia, gdybym go przemocą albo postrachem odebrała mojemu gościowi!

I wreszcie stało się! Chcesz dobrowolnie oddać mi Pierścień! Na miejscu Czarnego Władcy postawić kobietę! A ja nie będę ponura, lecz piękna i straszna jak świt i noc. Czarodziejska jak morze, słońce i śnieg na szczytach. Groźna to burza, jak grom. Potężniejsza niż fundamenty ziemi. Wszyscy kochaliby mnie z rozpaczą! (...) – Wytrzymam próbę – rzekła. – Wyrzeknę się wielkości, odejdę na zachód, pozostanę Galadriela<sup>9</sup>.

Powodem, dla którego oboje – Gandalf i Galadriela – obawiają się mocy Pierścienia, jest świadomość, że powstał on, aby czynić zło, i dlatego każdy dobry czyn dokonany z jego pomocą obróci się w zło. Elrond, pan na Rivendell, mówi:

Niestety! (...) Nie możemy użyć Pierścienia Władzy. Wiemy to aż nadto dobrze. Jest własnością Saurona, jego, wyłącznie jego dziełem, na wskroś złym. Moc Pierścienia, Boromirze, jest tak wielka, że nikt nie może nim rozporządzać wedle swojej woli, chyba tylko ten, kto i bez niego miał własną moc. Ale tym, co ją mają, Pierścień grozi jeszcze okrutniejszym niebezpieczeństwem. Już sama chęć posiadania go upadła serce. Pomyśl o Sarumanie. Gdyby któryś z Mędrców z pomocą Pierścienia i dzięki swojej sztuce obalił władcę Mordoru, sam zasiadłby na tronie Saurona i ujrzelibyśmy nowego Władcę Ciemności. Oto jeden powód, dla którego trzeba Pierścień zniszczyć, póki bowiem istnieje na świecie, póty groźba wisi nawet nad Mędrcami. Nic nie jest złe na początku. Nawet Sauron nie zawsze był zły. Lękam się odesłać Pierścień do jakiegokolwiek kryjówki. Nie wziąłbym go za żadną cenę, by użyć jego potęgi<sup>10</sup>.

Trzeba przyznać, że Tolkien dostrzegał w jakiś sposób mity, które profesor Hans-Hermann Hoppe obalił ostatnio w swojej doskonałej książce *Demokracja. Bóg, który zawiódł*. Według Hoppego, pierwszym i najważniejszym z nich jest mit, „że wyłonienie się państw z pierwotnego, bezpaństwowego porządku spowodowało postęp ekonomiczny i cywilizacyjny. W rzeczywistości wszelki po-

<sup>6</sup> Tamże, s. 95.

<sup>7</sup> Mówiąc ściślej, Tolkien potępiał władzę, jako swoiste ucieleśnienie zła, ale nie sprzeciwiał się fenomenowi naturalnej hierarchii, a nawet przeciwnie – uważał ją za fundament organizacji życia społeczności – przyp. red.

<sup>8</sup> J.R.R. Tolkien, *Drużyna pierścienia*, tłum. Maria Skibniewska, Warszawa 1996, s. 93.

<sup>9</sup> Tamże, s. 479-480.

<sup>10</sup> Tamże, s. 323.

stęp dokonał się pomimo istnienia państwa, a nie dzięki niemu<sup>11</sup>. Kolejny mit, pisze Hoppe:

dotyczy historycznego przejścia od monarchii absolutnej do państwa demokratycznego. (...) Istnieje niemal powszechna zgoda co do tego, że demokracja stanowi wyższy szczebel rozwoju w stosunku do monarchii i jest przyczyną postępu – gospodarczego i moralnego. Taka interpretacja wydaje się osobliwa w świetle tego, że demokracja była przecież źródłem, z którego wypłynęły wszystkie formy socjalizmu: europejski demokratyczny socjalizm oraz amerykański liberalizm i neokonserwatyzm, jak również komunizm sowiecki, włoski faszizm czy hitlerowski narodowy socjalizm. Co istotniejsze, teoria podważa tę interpretację; zarówno monarchie, jak demokracje są wadliwe, ponieważ są formami państwowymi, jednak demokracja jest formą gorszą od monarchii<sup>12</sup>.

W liście do syna, Christophera, Tolkien napisał:

Gdybyśmy mogli wrócić do nazw własnych, przyniosłoby to wiele dobra. „Rząd” to abstrakcyjny rzeczownik oznaczający sztukę oraz proces rządzenia i pisanie go wielką literą, jakby odnosił się do ludzi, powinno być przestępstwem. Gdyby ludzie nauczyli się mówić o radzie króla Jerzego, Winston i jego banda, przyczyniłoby się to znacznie do oczyszczenia myślenia i zatrzymania przerażającego osuwania się w Ichniokrację<sup>13</sup>.

Żadna postać we *Władcy pierścieni* nie jest „doskonała”, „nieskazitelna”. Każda ma w sobie zarówno dobro, jak i zło, i raz po raz musi wybierać między dobrym a złym uczynkiem. Niemniej jednak „dobro” oraz „zło” istnieją i są wyraźnie rozdzielone, mimo że ludzie czasem w to wątpią albo nie potrafią ich odróżnić. To oczywiście główny powód, dla którego Pierścień, nieustannie kuszący tę złą stronę właściciela, może czynić wyłącznie zło. Nawet najlepszy człowiek na świecie prędzej czy później by mu uległ.

Tylko w ten sposób można spojrzeć na świat oczami Tolkiena. Zdawał on sobie sprawę, że ludzie są źli i dobrzy; niektórzy mogą dobrowolnie wybrać zło, a nawet czerpać z tego przyjemność. Konsekwencją biblijnego upadku jest niedoskonałość istot ludzkich, dlatego też każdy sposób sprawowania władzy stanowi zło samo w sobie. W rzeczy samej: „(...) właściwym przedmiotem studiów nad człowiekiem na pewno nie jest sam człowiek, a najbardziej niewłaściwym zajęciem dla ludzi, nawet świętych (którzy przynajmniej nie chcieli się go podjąć), jest dyrygowanie innymi. Nie jest do tego przygotowana nawet jedna osoba na milion, a już najmniej ci, którzy szukają takiej możliwości<sup>14</sup>”.

Jeden z najbardziej kontrowersyjnych bohaterów *Władcy pierścieni*, Saruman, był mądrym czarodziejem, zanim uległ pokusie władzy absolutnej (która, jak pisał Lord Acton, „korumpuje w sposób absolutny”). Starając się przekonać Gandalfa, Saruman mówi:

Dawne Dni przeminęły. Średnie Dni przemijają. Świtają Dni Nowe. Czas elfów już się skończył, zbliża się nasz czas: świat ludzi, którymi my powinniśmy rządzić. Na to wszakże trzeba nam potęgi, byśmy we wszystkim mogli narzucić swoją wolę, a to dla dobrych celów, które jedynie Mędracy umieją dostrzec. (...) Nowa Potęga rośnie. Przeciw niej dawni sojusznicy i dawne środki nic nie wskórają. Nie można pokładać nadziei w elfach ani umierającym Numenorze. Jedna tylko droga jest przed tobą, przed nami. Przyłączmy się do nowej Potęgi. Tak nakazuje mądrość, Gandalfie. To droga nadziei. Lada dzień tamta Potęga zatryumfuje, a ci, którzy przyczynią się do jej zwycięstwa, otrzymają hojne nagrody. Kiedy Potęga ta wzrośnie, wraz z nią wzrosną jej wypróbowani sprzymierzeńcy, a Mędracy, jak ty i ja, z czasem potrafią ją całą opanować i kierować jej działaniem. Będziemy musieli przeczekać cierpliwie, tać nasze prawdziwe myśli na dnie serca, może oplakiwać niegodziwości, których nie da się uniknąć po drodze, mając wszakże wciąż na oku godny, wzniosły, ostateczny cel: Wiedzę, Władzę, Ład – co dotychczas daremnie usiłujemy osiągnąć, bo przeszkadzają nam, zamiast pomagać, nasi słabi lub gnuśni przyjaciele. Nie wymaga to większych zmian naszych celów – których nie zmienimy – lecz tylko zmiany środków<sup>15</sup>.

Gandalf odpowiada: „Nie, ja Pierścienia nie wydám, nic ci o nim nie powiem, skoro już poznałem twoje myśli. Byłeś głową Rady, lecz teraz odsłoniłeś swoje prawdziwe oblicze. Rozumiem już, mam do wyboru poddać się Sauronowi albo tobie. Nie pójdę żadną z tych dwóch dróg<sup>16</sup>”.

Tom Shippey zauważa:

Słowa Sarumana są kwintesencją spraw, których współczesny świat nauczył się najbardziej lękać: porzucenie sprzymierzeńców, cele uświęcające środki, *przyjęcie odpowiedzialności za konieczne morderstwa*. Ale także sam sposób przekazu jest znaczący. Żadna inna postać w Śródziemiu nie ma takiego jak Saruman daru do wyważania fraz tak, że godzą one rzeczy nie do pogodzenia, i nikt też nie używa słów tak pustych semantycznie, jak *ubolewać, ostateczny*, a nade wszystko *rzeczywista*. (...) Żaden z owych mówców, z wyjątkiem Sarumana, nie zwraca uwagi na korzyści, pragmatyzm, Realpolitik, *polityczny realizm*<sup>17</sup>.

Ktoś mógłby powiedzieć, że współcześnie nastąpiło coś w rodzaju „końca historii”, gdyż demokracja postrzegana jest jako „najlepsza forma rządów”, podtrzymująca

<sup>11</sup> Hans-Hermann Hoppe, *Democracy: The God That Failed*. Tekst opublikowany na stronie <http://www.lewrockwell.com>.

<sup>12</sup> Tamże.

<sup>13</sup> *Listy*, s. 95.

<sup>14</sup> Tamże.

<sup>15</sup> *Władca pierścieni*, s. 343-344.

<sup>16</sup> Tamże, s. 344-345.

<sup>17</sup> Thomas Alan Shippey, *Droga do Śródziemia*, tłum. Joanna Kokoł, Poznań 2001, s. 147-149.

złudzenie, że żaden rząd nie działa bez zgody rządzących. Tolkien jednak by się z tym nie zgodził. Pisał przecież o sobie: „Nie jestem «demokratą» choćby dlatego, że «pokora» i równość to zasady duchowe, które wynaturzają się przy próbie ich zmechanizowania i sformalizowania, wskutek czego otrzymujemy nie powszechną małość i pokorę, ale powszechną pychę i butę, dopóki

jakiś ork nie zawładnie pierścieniem władzy – a wtedy otrzymamy (tak jak dziś) niewolnictwo<sup>18</sup>».

<sup>18</sup> Por. oryginał: *The Letters of J.R.R. Tolkien*, London 2006, s. 246. Polski przekład tego fragmentu (*Listy*, s. 369.) zupełnie nie oddaje jego istoty, więc redakcja zdecydowała się na własne tłumaczenie.

## J.R.R. Tolkien jako apologeta anarchokonserwatyzmu?

Jakub Z. Lichański\*

*Gościnności nie ma, jedzenia nie ma, ziela fajkowego nie ma,  
za to przepisów w bród i klótnie jak wśród orków.*

J.R.R. Tolkien, *Władca Pierścieni*, III.

**Czy to już nie przesada – powoływać się na Tolkiena przy omawianiu nawet tak ezoterycznych problemów ideologicznych, jak kwestie tzw. anarchokonserwatyzmu? Sądzę, że nie, bowiem wypowiedzi samego pisarza uprawniają do takiego spojrzenia. Co więcej – jego pisarskie propozycje także do takich rozważań wręcz zachęcają.**

Motto, którym otworzyłem niniejsze rozważania, są zwięzłym i nieco złośliwym, ale celnym komentarzem pisarza do stanu tzw. przeregulowania prawnego, z jakim spotykamy się w wielu gospodarkach, w tym gospodarkach planowych bądź o centralnym systemie planowania. Czy sam pisarz przeciw temu zjawisku zaprotestował jednak w inny sposób?

Oczywiście tak i przypomnieniu tych fragmentów jego dzieła poświęcę niniejsze rozważania.

Zacznę od żartu filologicznego. Jak wiadomo źródłem dla *Władcy Pierścieni* były następujące opracowania: *Czerwona Księga Marchii Zachodniej* (autorami byli m.in. Bilbo i Frodo Bagginsowie; zwracam uwagę, iż posiadała ona kilka, dość mocno różniących się od siebie, kopii), *Kronika Lat*, M. Brandybuck, *Zielnik Shire*, M. Brandybuck, *Rachuba czasu*, M. Brandybuck, *Stare sło-*

*wa i nazwy w Shire*, a także inne, nie wymienione przez J.R.R. Tolkiena opracowania.

Informacje tu przypomniane znajdują się w *Prologu*, który został dodany do drugiego wydania angielskiego (i amerykańskiego) w roku 1966. Pytanie – dlaczego pisarz uznał to za konieczne – pominię i przejdę do opisu zawartości tegoż fragmentu dzieła. Składa się on z pięciu części: *W sprawie hobbitów*, *O fajkowym ziele*, *O ustroju Shire*, *O znalezieniu Pierścienia* oraz *Nota do Prologu*. Dla naszych celów najważniejszy jest oczywiście rozdział trzeci omawiający ustrój Shire.

Autor przypomina podział terytorialny Shire i przechodzi do kwestii ustrojowych.

Shire podówczas nie miał własnego rządu w ścisłym znaczeniu tego słowa. Rody najczęściej rządziły się własnymi prawami. Cały niemal czas wypełniała hobbitom produkcja żywności oraz jej zjadanie. Obywatele Shire'u byli na ogół hojni, nie łapczywi, lecz powściągliwi i skłonni zadowalać się tym, co mieli, toteż wielkie i mniejsze gospodarstwa rolne, warsztaty i drobne przedsiębiorstwa handlowe przechodziły z pokolenia na pokolenie niezmienione. (...) Przypisywali bowiem owym dawnym królom wszystkie swoje podstawowe prawa; przestrzegali ich zazwyczaj z dobrej woli, ponieważ były to prawa (jak powiadali) starożytne i sprawiedliwe. (...)

Than (urząd pełniony przez przedstawicieli rodu Tuków – dop. JZL) przewodniczył sądownictwu, zwoływał wiece i dowodził siłami zbrojnymi, ponieważ jednak sądy i wiece zbierały się tylko w razie szczególnej potrzeby, co się od długich lat wcale nie zdarzało, urząd thana stał się jedynie chlubnym tytułem i niczym więcej (...)

Jedynym rzeczywistym urzędem w ówczesnym Shire była godność burmistrza Michel Delving (...) obowiązki

\* Autor jest profesorem na Wydziale Polonistyki UW, specjalistą w zakresie nauk filologicznych i kultury popularnej, autorem m.in. *Opowiadania o... krawędzi epok i czasów Johna Ronalda Reuela Tolkiena, czyli metafizyka, powieść, fantazja* (Warszawa 2003) oraz *J.R.R. Tolkien – recepcja polska. Studia i eseje* (Warszawa 1996), a także jednym z tłumaczy zbioru Tolkiena *Drzewo i liść* (Poznań 2000).

burmistrza ograniczały się niemal wyłącznie do przewodniczenia na bankietach wydawanych z okazji świąt hobbitkich (...). Lecz z godnością burmistrza łączyły się funkcje Najwyższego Poczmiestra i Pierwszego szeryfa, musiał więc kierować listonoszami oraz szeryfami. Były to jedyne dwa rodzaje służby publicznej w Shire, przy czym poczta miała znacznie więcej do roboty niż policja (...) W całym kraju liczone ich (szeryfów – dop. JZL) dwunastu, po trzech na każdą Ćwiartkę, do utrzymywania ładu wewnętrznego. Znacznie liczniejszy zastęp, powiększany lub zmniejszany zależnie od potrzeb, patrolował granice strzegąc, by wszelkiego rodzaju obcokrajowcy, wielcy czy mali, nie czynili szkód.

\*\*\*

Przytoczone w obszernym cytacie uwagi Tolkiena nie są oczywiście jedynymi, które można znaleźć na interesujący nas temat. Zacznę jednak od komentarza do tego właśnie fragmentu. Pisarz przedstawia nie tyle sielankowy, co interesujący obraz społeczności, która kieruje się niezwykle zdrowym podejściem do życia. Obraz ten przypomina, w pewnym fragmencie, ustrój plemion germańskich, bądź celtyckich. Zarazem – „wycina” z ich życia agresję.

Aby nie było całkiem fałszywie ukazuje jednak pisarz, iż część hobbitów dała się skusić Sarumanowi i wzięła udział w dziele „cywilizowania” Shire’u, co, zdaniem starego Cottona, było prostą drogą do „zamienienia kraju w pustynię”. Przykładem „zamiany” jest obraz Isengardu przed i po rozpoczęciu przez Sarumana tworzenia potężnego imperium.

Zwracam uwagę, iż obywatele Shire, jeśli chodzi o życie gospodarcze, kierują się prostą zasadą – „wszystkiego w miarę”. Jest to typowe społeczeństwo rolnicze, acz wynalazki techniczne są lubiane, pod warunkiem, że nie zmieniają zbyt wiele w życiu (młyn wodny jest lepszy od parowego, bowiem ten drugi zanieczyszcza wodę oraz powietrze, a czasem – nie ma dla jego „mocy produkcyjnych” zajęcia).

Generalnie hobbiti kierują się zasadą opisaną m.in. przez Ludwiga von Misesa w jego *Human Action* (polski przekład w przygotowaniu). Orzeka ona, iż ważniejsze jest w życiu politycznym i gospodarczym „postawienie” na swobodę wyboru przez ludzi tego, co dla nich jest naprawdę potrzebne, niż narzucanie im, np. przez rząd, jakichś konkretnych rozwiązań.

Spółeczeństwo Shire jest oczywiście konserwatywne; wszelkie zmiany „wchodzą” dość wolno i to pod warunkiem, że większość bądź najlepiej wszyscy zgodzą się na nie. Zwracam uwagę na urząd thana oraz przysługujące mu prawo zwoływania wieców „w szczególnie ważnych sprawach”. Zapewne tylko wtedy można by podjąć jakieś uzgodnienia szerszych zmian czy to ustrojowych, czy gospodarczych.

Sam Tolkien miał świadomość, iż takie społeczeństwo może dość łatwo ulec obcej przemocy, jednak zwraca także uwagę, że siła oporu może być większa, niż zakładana przez potencjalnego najeźdźcę.

Warto jednak sięgnąć do listu do Milтона Waldmana (obecnie także przedrukowanego w nowym wydaniu *Silmarillionu*), w którym m.in. czytamy:

Główną władzą (wszystkich pierścieni w równej mierze) było zapobieganie czy też spowalnianie zaniku (tj. „zmiany” postrzeganej jako coś godnego pożalowania), zachowanie tego, czego się pragnie, co się kocha lub samych pozorów – to jest mniej więcej główny motyw działania elfów.

Ale wcześniej wskazuje Tolkien na następujący problem:

W Regionie zaczęły się jednak wielkie przygotowania – i elfowie jak nigdy przedtem skłonni byli ulec „magii” i maszynierii. Z pomocą Saurona wykonali Pierścienie Władzy (we wszystkich tych opowieściach „władza” jest zawsze złowieszczym i groźnym słowem, chyba że stosuje się do bogów).

A zatem pisarz zwraca uwagę, iż problem zmian bądź powstrzymywania się od zmian nie wygląda tak prosto; zmiana jest „wpisana” niejako w strukturę świata – jak pisze w tymże liście „zmiana czasu (prawo świata pod słońcem)”. Musimy o tym pamiętać; przypomina to zresztą i Mises wskazując, że zmiana wynika z samej istoty człowieczeństwa. Natomiast zmiana propagowana przez wszelkich planistów wynika z chęci zamknięcia jej w sztywny gorset np. równań (taką wizję roztacza m.in. Izaak Asimow w cyklu *Fundacja*). A zatem propozycja Tolkiena, a bardziej nawet Misesa, wynika ze sprzeciwu wobec narzucania innym – „jednego, słusznego poglądu”. W tym kontekście ważna jest rozmowa Froda, Sama i Galadrieli, gdy ta ostatnia odrzuca pokusę Pierścienia – właśnie jako „władzy”, czyli – podporządkowania innym własnym planom.

\*\*\*

Pozostałe społeczności są opisane mniej szczegółowo; można jednak dostrzec pewne prawidłowości. Społeczność Mordoru a także Isengardu (po zdradzie Sarumana) jest szalenie uzależniona od centralnego planowania. Kiedy ono zostaje bądź rozbite, bądź zachwiane – zagrożona zostaje całość państwa a społeczność nie znajduje sił do oporu.

Spółeczeństwa ludzi (Rohan i Gondor) przypominają, przy wszystkich różnicach wynikających głównie ze skali, społeczeństwo hobbitów. Władcy są właściwie tylko naczelnymi wodzami w stanie zagrożenia; w stanie pokoju społeczność rządzi się wedle praw wywodzących

się z tradycji. I chyba właśnie ona – tradycja – staje się kluczem do zrozumienia idei Tolkiena.

Siłą społeczności opisanych przez Tolkiena jest wierność tradycji właśnie i to tradycji rozumianej nie jako coś martwego, ale jako coś budującego. Wynika to z postawy nie tyle niechęci wobec zmian, co rezerwy raczej. Jej źródłem jest pytanie o celowość oraz dalekie konsekwencje owej zmiany.

Świetnym przykładem jest tu wymiana zdań między Legolasem a Gimlim, gdy ten ostatni wraca z Błyszczących Jaskiń. Na złośliwą uwagę elfa, iż krasnoludy obróciłyby to cudo przyrody w banalną kopalnię, Gimli odpowiada:

Nie, nie rozumiesz nas. Nie ma krasnoluda, którego by nie wzruszyło to piękno. Żaden z synów Durina nie zmieniłby tych pieczar w kamieniołomy ani w kopalnie kruszcu, choćby kryły się w nich najcenniejsze brylanty i złoto. Czy ściałbyś kwitnący wiosną gaj na opał?

I w tych słowach kryje się odpowiedź na postawione przez nas pytanie: mamy nie zmieniać dla zmiany, ale – roztaczać opiekę.

\*\*\*

Jaka jest konkluzja naszych uwag? Dość oczywista; okazało się, iż problem czy można spojrzeć na J.R.R. Tolkiena z perspektywy anarchokonserwatyzmu jest, *in summa*, trywialne. Odpowiedź pozytywna jest bowiem oczywista. Jednak pojawiło się drugie, daleko istotniejsze pytanie; tyczy ono już kwestii nietrywialnej, a mianowicie – czy, w perspektywie wieloletniej, czy wręcz rozpatrywanej przez wiele dziesięcioleci, „lepszy” jest nieograniczony postęp technologiczny, czy raczej bardzo powolny i obliczony wyłącznie na takie ułatwienie codziennego życia, które nie niesie ze sobą uruchomienia niekontrolowanych procesów autoewolucji w zakresie techniki i technologii? O ile pierwsze z pytań nie nastęrczyło specjalnych trudności, to drugie możemy tylko postawić. Jego choćby rozważenia wymaga osobnych analiz, acz wyłącznie o charakterze teoretycznym. W obecnej naszej sytuacji cywilizacyjnej powstrzymanie czy spowolnienie procesów technoewolucji jest raczej problemem akademickim, a nie praktycznym.

Co powiedziawszy – spróbuję jednak na to pytanie zasugerować odpowiedź. Wbrew pozorom, a także opiniom różnych badaczy, w tym Stanisława Lema, tzw. postęp technologiczny nie w pełni przypomina procesy ewolucyjne. Acz faktycznie wskazuje pewną autonomię – raz wszczęty bardzo „niechętnie” podlega próbom jego powstrzymania (decydując się na określone zmiany np. w zakresie sposobu ogrzewania mieszkań – przejście od pieca do centralnego ogrzewania – nie jest do „cofnięcia” w chwili obecnej) – to jednak może zostać

„sztucznie”, tzw. decyzjami politycznymi, rozpędzany, czy raczej napędzany (dobrym przykładem jest sugestia UE, że 20% energii ma być do któregoś tam roku uzyskiwane ze źródeł odnawialnych; decyzja zapewne jest rozsądna, ale władze UE chcą ją narzucić jako dyrektywę. A to jest „wymuszanie” zmian).

Tymczasem sytuacja winna być nieco inna; hobbiti w Shire chodzą boso, ale gdy trzeba – zakładają obuwie. Tu kryje się sedno problemu: mamy pewne możliwości i gdy jest taka potrzeba – korzystamy z nich. Musimy mieć swobodę wyboru, a nie jeden narzucony plan; społeczność hobbitów ma prawo żyć jak chce, a Rohańczycy czy Gondorcycy – po swojemu. Ale ani oni, ani inni nie mają prawa wzajem sobie narzucać „jednego, właściwego” stylu!

Zatem – zmiana np. technologiczna winna wynikać z potrzeb, które są nie narzucane jakiejś społeczności, ale przyjmowane przez nią wtedy, gdy uzna one je za własne. Obawiam się jednak, iż jest to wizja bardzo trudna do spełnienia we współczesnym świecie.

## Literatura

### Teksty

Tolkien, John Ronald Reuel, *Listy*, wyd., opr. Humphrey Carpenter, współpr. Ch. Tolkien, tł. A. Sylwanowicz, Poznań 2000.

Tolkien, John Ronald Reuel, *Silmarillion* [z nową przedmową oraz listem do Milтона Waldmana], wyd. Ch. Tolkien, tł. Maria Skibniewska, Warszawa 2006.

Tolkien, John Ronald Reuel, *Władca Pierścieni* (1966), tł. Maria Skibniewska, t. 1-3, Warszawa 1981 [lub następne; tu przede wszystkim: *Prolog*].

### Opracowania

J.R.R. Tolkien – *recepja polska. Studia i eseje*, red. J.Z. Lichański, Warszawa 1996.

Carter Lin, *Tolkien: świat „Władcy Pierścieni”*, tł. Agnieszka Sylwanowicz, posłowie J.Z. Lichański, Warszawa 2003.

Mises, Ludwig von, *Human Action. A Treatise on Economics*, Chicago 1966.

Lichański J.Z., *Opowiadania o...krawędzi epok i czasów Johna Ronalda Reuela Tolkiena czyli Metafizyka, Powieść, Fantazja*, Warszawa 2003.

Simek Rudolf, *Mittelerde: Tolkien und die germanische Mythologie*, Muenchen 2005.

Szyjewski Andrzej, *Od Valinoru do Mordoru*, Kraków 2003.

# Opowieści o Atlasach i hobbitach, czyli któreś do Hoppeladonii

Juliusz Jabłecki

Fakt, że literatura silnie oddziałuje na nasze przekonania ideologiczne doskonale ujął Jerome Tuccile, nadając swojej książce o narodzinach i rozkwicie libertarianizmu w USA tytuł *It usually begins with Ayn Rand* („Zwykle zaczyna się od Ayn Rand”). Rand była przecież przede wszystkim pisarką i choć zapewne nie bez wpływu na „liberalną konwersję” wielu osób był osobisty kontakt z nią oraz doświadczenie jej niezaprzecznego magnezyzmu, to niezmiernie ważną rolę odegrały też same jej powieści, przede wszystkim zaś *Atlas zbuntowany*. Wielu ludzi bowiem (m.in. wybitny współczesny myśliciel libertariański Walter Block) przeczytawszy tę sugestywną powieść zapałało szczerą niechęcią do wszelkich form socjalizmu oraz fizycznego i duchowego zniewolenia, z jakim się wiąże. Można więc śmiało stwierdzić, że to właśnie powieść – bajka, fikcja literacka – zdołała nadać kontekst i ukształtować wyobrażenia czytelników o tak w gruncie rzeczy abstrakcyjnych pojęciach, jak wolność, etatyzm czy egalitaryzm.

Innym pisarzem, który także zjednał sobie niezwykle licznych czytelników był John Ronald Reuel Tolkien, autor znanej na całym świecie i nazywanej niekiedy trylogią powieści *Władca pierścieni*. Mimo że Tolkien był literacko znacznie mniej nachalny niż Rand, nie narzucał nikomu właściwej interpretacji swojej opowieści i nie krył się z niechęcią do alegorii jako z góry zakładających jedynie słuszne, zaplanowane przez autora odczytanie, to jednak nie zaprzeczał nigdy, że *Władca pierścieni* jest powieścią nie tylko o elfach czy krasnoludach, ale także o konkretnych ideach. Jak pisał w liście do Michaela Straighta, redaktora pisma *The New Republic*, *Władca pierścieni* miał być przede wszystkim wciągającą historią, lecz historią adresowaną do dorosłych, zawierającą prócz pościgów i ucieczek także ważny, ponadczasowy przekaz, odzwierciedlający własne poglądy pisarza (*The Letters of J.R.R. Tolkien*, Humphrey Carpenter, red., HarperCollins 2006, s. 233). A ponieważ Tolkien uważał się za konserwatywnego anarchistę, to nie powinno dziwić, że odpowiadając swemu wydawcy na usilne prośby objaśnienia symboliki w swoim dziele, proponował, aby na *Pierścieniu* patrzeć jak na alegorię współczesnych dziejów – opis nieuniknionego losu, który spotyka wszystkie próby pokonania złej władzy władzą (*The Letters...*,

s. 121). Choć więc Tolkienowska saga jest nader często odbierana jako apolityczna „powieść drogi” czy „powiastka filozoficzna dla najmłodszych”, może ona być niezmiernie cennym źródłem inspiracji wolnościowych jako beletryzacja błyskotliwej obserwacji Lorda Actona, że władza korumpuje, a władza absolutna korumpuje absolutnie.

Oboje zatem, i Rand i Tolkien, snują swoje opowieści o wolności, choć posługują się przy tym zupełnie inną estetyką i w konsekwencji odmalowują dwa zupełnie różne światy, przedstawiają różnych bohaterów, różne problemy. Czy jednak na tyle różne, aby powieści kategorycznie różniły się od siebie przekazem? Mając na uwadze to, jak ważne jest opowiadanie **właściwej** opowieści, warto zadumać się nad obrazami świata przedstawionymi w *Atlasie zbuntowanym* i we *Władcy pierścieni*, porównać bohaterów oraz dylematy przed jakimi stają, zadając sobie pytanie, która z narracji stanowi lepszy kontekst, lepszy literacki punkt odniesienia dla idei wolności oraz Hoppeańskiej koncepcji ładu naturalnego.

\*\*\*

*Atlas zbuntowany* to najkrócej rzecz ujmując powieść o strajku. Jednak nie takim, o jakim myśli się na ogół słysząc to słowo. Rand nie pisze o związkach zawodowych ani masach robotniczych, lecz o *Atlasach* – tytanach, którzy swą niezastąpioną pracą gwarantują istnienie świata. Są nimi wielcy kapitaliści, właściciele hut, kopalń, ludzie genialni, twórczy, w każdej mierze nieprzeciętni. Taka jest też główna bohaterka powieści, Dagny Taggart, dziedziczka potężnego przedsiębiorstwa kolejowego Taggart Transcontinental, które stara się rozwijać i ratować, na przekór coraz śmielszym zakusom rządu, przesiąkniętego kolektywistycznymi ideami. Społeczeństwo, w którym przyszło żyć bohaterce powieści jest tępe, zawistne, leniwe i w gruncie rzeczy bezradne, gdyby zaś nie ta garstka Atlasów, pogrążyłoby się niechybnie we własnej beznadziei.

Dagny kocha to, co robi. Jest niezmiernie utalentowanym dyrektorem, a kierowanie kolejowym molochem zdaje się wcale jej nie męczyć. Prawdziwą uciążliwością jest za to konieczność dzielenia się obfitymi owocami swej pracy z niewdzięczną bandą nieudaczników. Po-



czątkowo daje się to znieść, bo wszystkim wysiłkom heroiny towarzyszy przekonanie, że podobnie jak ona czują i myślą inni wielcy twórcy – wprawdzie nieliczni, lecz stanowiący prawdziwy silnik świata. Stopniowo jednak Dagny zdaje sobie sprawę, że ten silnik, którego przecież sama jest częścią, został przez kogoś brutalnie wyłączony, a tytani ludzkości, jeden po drugim, znikają gdzieś bez słuchu. Porywaczem okazuje się John Galt – tajemniczy, owiany legendą bohater, którego imienia wzywają wszyscy maluczcy powieści, aby dać wyraz swej bezradności: „Jak to zrobić?” – pyta jeden przeźliwie przeciętny człowiek drugiego – „A bo ja wiem, kim jest John Galt?” – pada prawie zawsze odpowiedź. Czy można, czy warto jeszcze w ogóle o cokolwiek pytać, czegoś dociekać? Po co?

Galt także był kiedyś jednym z Atlasów, lecz roszczeniowość, kolektywistyczne nastawienia i niewdzięczność społeczeństwa, któremu przecież tyle dawał z siebie, skłoniły go do tego, aby podjąć strajk – nie walczyć z tłamszącym systemem, nie próbować go zmieniać, tylko po prostu odejść zabierając ze sobą innych. I tak odchodzą po kolei – wynalazcy, kompozytorzy, twórcy, kierownicy, właściciele... A silnik świata rzeczywiście staje i gospodarka pogrąża się w chaosie, bo kiedy nie ma już na kim żerować, społeczeństwo nienasyconych hien nie wie, co ma ze sobą począć.

Tymczasem *Übermensch* znajdują schronienie w niezwykle dolinie, ukrytej gdzieś w Kolorado, w której znak dolara kojarzy się – nie jak po „tamtej stronie” – z chciwością, łapówkarstwem i draństwem, lecz jest symbolem osiągnięcia sukcesu, umiejętności i mocy twórczej. Niewybaczalnym grzechem zaś jest altruizm. Tak żyją z dala od dogorywającego świata, złączeni przyrzeczeniem, że nigdy już nie pozwolą bezproduktywnym nierobom czerpać korzyści ze swej pracy. Czekają chwili, kiedy skończy się historia, „kiedy doktryna koźła ofiarnego zbierze żniwo – kiedy nie będzie już ofiar, gotowych blokować ścieżkę sprawiedliwości i przyjmować na siebie kary – kiedy głosiciele samo poświęcenia odkryją, że ci, którzy są gotowi je praktykować, nie mają czego poświęcić, a ci, którzy mają, już nie chcą – kiedy ludzie zobaczą, że ani serca, ani mięśnie nie są w stanie ich uratować, a umysł, który potępili, zniknął z pola widzenia i nie odpowiada na ich wołania o pomoc – (...) – kiedy nie pozostaną im żadne pozory, władza, prawo, moralność, nadzieja, żywność ani sposób na jej uzyskanie – kiedy upadną i droga będzie wolna” (*Atlas zbuntowany*, Poznań 2004, s. 859). Wtedy Atlasi znów podźwigną kulę ziemską – jednostki wybitne powrócą, by odbudować świat.

\*\*\*

Motywy odbudowy świata, obietnicą przywrócenia rzeczom dawnego, właściwego ładu, kończy się także powieść Tolkiena. Zupełnie inaczej jednak się zaczyna: nie na wielkim dworcu, w ogromnej hucie, ani nawet w pięknym pałacu. *Władca pierścieni* zaczyna się w Shire, a dokładniej w Hobbitonie – niewielkiej miejscowości zamieszkałej przez hobbity, czyli małe, trochę nieporadne stworzenia, w całej swej nieskomplikowanej i niezmiernie sympatycznej naturze przypominające zwykłych ludzi. Do cichego i spokojnego zazwyczaj Hobbitonu przybywa wielki czarodziej Gandalf, którego niepokoi skrywany tam przez niejakiego Bilba niezwyklej wartości przedmiot – tajemniczy Pierścień. Wykuty wiele lat wcześniej przez Pana Ciemności, Saurona, był jednym z wielu pierścieni władzy, tym najpotężniejszym i dającym kontrolę nad wszystkimi pozostałymi. W Hobbitonie zaś znalazł się zupełnym przypadkiem. Bilbo Baggins przywiózł go po prostu ze sobą z jednej ze swych podróży i chował w tajemnicy przed światem, ciesząc się jego blaskiem i wspaniałością. Pierścień dawał hobbitowi niezwykłą siłę oraz witalność w podeszłym już wieku, ale paradoksalnie także uzależnił od siebie. Bilbo stał się bowiem z czasem więźniem tej małej obrączki, nie rozstawał się z nią na krok, zawsze nosił przy sobie, w kieszonce swej hobbiciej kamizelki. I zapewne byłoby tak jeszcze przez długie lata, gdyby nie to, że Gandalf upewnił się co do tajemniczej historii Pierścienia, poznał jego mroczną naturę i zrozumiał, że Władca Ciemności już wie, gdzie znajduje się jego dawno zagubiony, bezcenny skarb, a skoro tak, to niechybnie się po niego upomni.

Pierścień nie może jednak trafić z powrotem w ręce swego twórcy, gdyż oznaczałoby to zagładę całego Śródziemia i niewolę wszystkich zamieszkujących je ras – nad cudownym światem zapadłby mrok i pokryłaby go pożoga. Niestety, owego potężnego źródła mocy nie można po prostu ponownie ukryć czy zakopać w ziemi i zapomnieć o jego istnieniu. Pierścień sam bowiem szuka drogi powrotu do swego prawdziwego pana, a ten nie będzie szczędził wysiłków aby odzyskać swój klucz do panowania nad światem. Jedynym więc sposobem na ocalenie świata wydaje się zniszczenie Pierścienia. Nie jest to jednak rzecz prosta. Jako przedmiot magiczny, nie podda się on zwykłemu płomieniowi ani żadnemu młotowi kowalskiemu – może go strawić tylko ogień Mordoru w Szczelinach Zagłady. Najpierw jednak ktoś musi go tam zanieść, a nie będzie to łatwe, bo na każdym kroku czyhają bezwzględni żołnierze Saurona, wstrętne orki.

Mogłoby się na pozór wydawać, że tak niebezpiecznego zadania mógłby się podjąć tylko sam Gandalf albo

któryś z wielkich i szlachejnych rycerzy Śródziemia. Niestety, Pierścień Władzy daje wprawdzie każdemu, kto go nosi moc panowania nad światem, ale w dziwny sposób opanowuje także samego noszącego. Jest jakby bytem samym przez się i samym dla siebie, w którego naturze leży podporządkowanie sobie wszystkim i wszystkiego. Jeśli więc trafiłby w ręce Gandalfa lub któregoś z innych wielkich, stałby się strasliwym narzędziem zniszczenia, bowiem nikt, kto go wsunie na palec, nie będzie już nigdy sobą, a jedynie kolejnym z jego sług. Sile Pierścienia może się do pewnego stopnia oprzeć tylko ten, kto sam jest słaby, nieudolny i nadaje się raczej do uprawiania własnego ogródka niż do zbawiania świata – słowem, ktoś taki jak Frodo Baggins, podopieczny i spadkobierca Bilba, który chcąc nie chcąc ulega namowom i wyrusza wypełnić powierzony mu misję. Towarzyszą mu oprócz wiernych przyjaciół z Shire także najznakomitsi rycerze innych ras – krasnolud Gimli, elf Legolas i dwóch ludzi, Aragorn i Boromir – oraz sam potężny Gandalf. Zawierzywszy Pierścień najskromniejszemu spośród siebie, drużyna wyrusza w niełatwą wędrówkę, w której wiele razy okaże się, że nawet Frodo, pozornie odporny, nie zawsze będzie umiał oprzeć się władzy ciemności. Kiedy zaś Pierścień Władzy wreszcie przepadnie w czeluściach Mordoru, nad Śródziemiem znów wzejdzie słońce, wszystko będzie można zacząć od nowa, przywracając światu jego dawne oblicze, ale nie zastępując już dopiero co pokonanej władzy nową.

\*\*\*

Tak pokrótce przedstawia się tło fabularne *Atlasa zbuntowanego* i *Władcy pierścieni*. Mogłoby się z pozoru wydawać, że skoro historia opowiedziana w powieści Tolkiena dzieje się w świecie zmyślonym, a Rand opowiada o pewnej, całkiem przecież realnej wizji rzeczywistości, to raczej *Atlas zbuntowany* nadaje się do tego, by fabularyzować przesłanie wolnościowe. Niemniej, chociaż autor *Władcy* tworzy własny świat, różniący się zdecydowanie od tego, który na co dzień oglądamy, bohaterowie walki o Śródziemie mają być w zamyśle Tolkiena równie realni, jak, powiedzmy, Pigmeje w Afryce Południowej. Legolas, Frodo, Aragorn czy Gimli – to wszystko są postaci wymyślone na użytek powieści, co jednak nie zmienia faktu, że w takim samym stopniu egzemplifikują oni określone prawdy, zasady lub wartości, jak Dagny Taggart czy John Galt. Nie ma różnicy, czy podejmuje się wielką walkę, aby ocalić Hobbiton, czy firmę Taggart Transcontinental. W swym najgłębszym przekazie obie powieści mówią w istocie o tym samym – o wyzwaniach, jakim musi stawiać czoła człowiek, o jego moralnej odpowiedzialności za siebie i za

to, co kocha oraz o zniewalającej i niszczącej sile przymusu i władzy. Ponadto obie wyraźnie potępiają imperatyw działania, tzn. przekonanie, że system daje się łatwo zmienić od wewnątrz. Bezpośrednio widać to u Ayn Rand, której bohaterowie swój sprzeciw wobec niegodziwości świata przypieczętowują ucieczką z niego, wypełniając klasyczne zalecenie de La Boétie: „Prześcień służyc, a przez samo to staniecie się wolnymi”. U Tolkiena motywem przewodnim jest wprawdzie nie bierny opór, lecz aktywna walka ze złem, ale także ona toczy się niejako na zewnątrz systemu. Gandalf i Galadriela, postaci wielkiej mocy, świadomie odrzucają możliwość pokonania Saurona za pomocą Pierścienia, wiedząc, że on uczyniłby ich takimi samymi. Pana Ciemności można więc pokonać tylko niszcząc to, co jest istotą jego potęgi – sam Pierścień Władzy.

Te podobieństwa nie oznaczają jednak, że pomiędzy *Atlasem zbuntowanym* i *Władcą pierścieni* nie ma różnic. Przeciwnie – są i to właśnie sprawia, że jedna z powieści stanowi nieco lepsze ukontekstowanie idei ładu naturalnego niż druga. Aby się o tym przekonać, warto zwrócić uwagę przede wszystkim na odmienną konstrukcję świata i bohaterów u Rand i u Tolkiena. Trudno nie odnieść wrażenia, że w *Atlasie zbuntowanym* światem **ktos** kieruje, **ktos** stoi za pomyślną organizacją rzeczywistości, która bez tego pograżyłaby się chaosie. Oczywiście nie chodzi tu o jakąś strukturę państwową – ta przedstawiona jest słusznie jako machina wyzysku – lecz o grupę niezwyklej ludzi, bez których nie byłoby prądu, radia, muzyki, ogrzewania w domach ani kolei, prawa czy porządku – słowem całej cywilizacji. Na szczęście *Übermensch* nie mają złych zamiarów wobec zwykłych ludzi. Nie chcą ich wykorzystywać, panować nad nimi, kontrolować ich, ale uważają, że to do nich należy świat i mają w związku z tym dla niego swój w pełni racjonalny, „oświeceniowy” projekt: chcą realizując własną genialność zagwarantować życie w komforcie wszystkim pozostałym.

Zupełnie inaczej ma się rzecz we *Władcy pierścieni*. Tam nie ma żadnego wielkiego planu dla świata. Śródziemie zamieszkuje wiele różnych ras – elfy, krasnoludy, hobbity, ludzie, enty – i wszystkie one żyją razem, lecz oddzielnie, tolerując się, czasem przyjaźniąc, ale nie wchodząc sobie z reguły w paradę. Nie ma żadnego rządu, lokalnego ani światowego, nie ma rewolucji przemysłowej ani ujednoczonej wizji postępu czy przyszłości. Nawet zaś w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa niezwykle trudno przychodzi zmontowanie koalicji przeciwko Sauronowi. Świat jest po prostu podzielony, zdecentralizowany do granic możliwości. Piękny w różnorodności poszczególnych ras, ludów i języków, w inności sposób życia i postrzegania rzeczywistości. Dłate-

go właśnie nie może być w nim miejsca na coś takiego jak „plan dla ludzkości” rozumiany jako coś pozytywnego. Są raczej setki małych planów – na przeżycie zimy, na zagospodarowanie grządki, na wypicie kufelka piwa w gospodzie, na wydobywanie złota z kopalni, na podróż w nieznaną – stworzone przez setki odrębnych istot. Jedyłą zaś wspólną wizją dla nich wszystkich, jaka pojawia się w książce, jest niecny plan Saurona – książkowego uosobienia absolutnego zła.

Pod podobnym kątem można też spojrzeć na bohaterów obu powieści. W *Atlasie zbuntowanym* są to ludzie niezwykli i to właśnie ze względu na swą wyjątkowość stali się bohaterami powieści. Każdy z Atlasów jest kryształowy, piękny, dumny. Każdy szczegół wyglądu zdradza w nim geniusz i wspaniałość. *Übermensch* poruszają się z gracją, nie pracują, lecz tworzą, i to zawsze z pasją i energią. Nie czują zmęczenia, nie nudzi ich to, co robią, nie mają rodzin, dzieci, zobowiązań. Są przerażająco racjonalni, żyją sami dla siebie i dla swych pasji. Jeśli są biznesmenami, to nie właścicielami małych rodzinnych zakładów rzemieślniczych, ale kierownikami wielkich hut, menedżerami transnarodowych korporacji albo dyrektorami sieci kolejowych. U Ayn Rand nie ma miejsca na niepozorność, bo na uznanie zasługuje tylko efektywne działanie, i to na wielką skalę.

Zupełnie inni, bardziej ludzcy są bohaterowie Tolkienowscy. Zresztą cała powieść *Władca pierścieni*, choć opowiedziana z perspektywy Froda, czyli hobbita, jest w istocie antropocentryczna. U Tolkiena pojawiają się naturalnie także prawdziwi ludzie, ale to właśnie hobbity są tak naprawdę ludzkie – małe, nieporadne, niezbyt dostojne ani wyjątkowo mądre, za to pogodne, wierne i w gruncie rzeczy dobre. Najważniejsi bohaterowie powieści są więc antybohaterami – stronią od świata wielkiej polityki, lecz mimo to zostają postawieni w samym jego centrum i w końcu zapewniają mu ocalenie. Tolkien zdaje się więc mówić, że kulę ziemską podtrzymują nie Atlasi, ale hobbity, a zatem, że każdy z nas jest powołany do rzeczy niebanalnych, choćby nawet urodził się w Hobbitonie i przez większą część życia nie wyściubił stamtąd nosa, spędzając błogie chwile w ogródku z fajeczką nabitą znakomitym ziołem. Każdy z nas stacza codziennie walkę z Sauronami swego świata i może przez to czyni rzeczywistość nieco lepszą. Na największe uznanie zaś zasługują nie ci, którzy przewodzą wielkim korporacjom, bo oni z konieczności są zbyt blisko Pierścienia, ale raczej ci którzy tylko dzięki własnym wysiłkom zarabiają na życie prowadząc sklepiki osiedlowe i kioski oraz handlując na straganach

ulicznych. To tam, jak mawiał Stefan Kisielewski wieje prawdziwy, zdrowy duch kapitalizmu i – być może właśnie dlatego – to w tym kierunku jest dziś zwrócone wszystkowiedzące Oko Mordoru.

\*\*\*

Porównywać *Atlasa zbuntowanego* i *Władcę pierścieni* można by zapewne jeszcze długo, odnajdując coraz to nowsze tropy interpretacyjne, inspirujące do dalszych dociekań. Wydaje się jednak, że nawet omówione tu skrótowo różnice uprawniają do przynajmniej częściowej odpowiedzi na pytanie postawione we wstępie. Otóż o ile powieść Ayn Rand, ze swym *stricte* modernistycznym przesłaniem, mogła kiedyś stanowić remedium na szerzące się plagi kolektywizmu i socjalizmu, to przedstawiony w niej obraz świata i człowieka nie pasuje już do dzisiejszych ponowoczesnych realiów i nie pomaga w trudnym zadaniu zbeletryzowania idei ładu naturalnego. Dziś nie trzeba już chronić wielkiego biznesu przed ludźmi, ale raczej ludzi przed wielkim biznesem, który ramię w ramię z Lewiatanem dąży do homogenizacji i atomizacji społeczeństwa.

W czasie, kiedy jak pisał Lytoard nie ma już żadnego „my” zdolnego wspólnie odczuwać i wyznawać jakąś metanarrację, nie ma też powodu, aby tkwić przy jednej wizji świata i jednym konkretnym projekcie postępu. *Władca pierścieni* oprócz tego, że pokazuje wielkie niebezpieczeństwo wszelkich prób pokonania władzy, uczy także, że nie ma kolektywów, że każdy z nas jest bohaterem swej indywidualnej historii oraz że źródłem prawa i porządku nie musi być państwo. Pomimo swego egoistycznego przesłania *Atlas zbuntowany* jest przesiąknięty duchem aktywności, duchem walki, misji i zbawienia. Bohaterowie Rand cierpią nie tylko dlatego, że państwo zagląda im do kieszeni, ale przede wszystkim dlatego, że społeczeństwo odrzuciło ich racjonalną, oświeconą wizję tego, co jest słuszne i dobre. Tolkien natomiast nie lubił tzw. aktywności. Napisał nawet kiedyś, że największe przykłady działania ducha i rozumu rodzą się w abnegacji (*The Letters*, s. 246). Zapewne dlatego właśnie jego bohaterowie nie szukają wielkich wyzwań, nie pragną zbawić świata, a raczej jak mawiał Wolter, uprawiają swe ogródki. Dzięki temu właśnie *Władca pierścieni* pozwala wyobrazić sobie i zrozumieć, że „po końcu historii” możliwe jest istnienie wielu kultur, mnóstwa języków, setek odrębnych społeczności, milionów różnych wizji, które razem, lecz oddzielnie, niezależnie od siebie, tworzą nowy świat Hoppeańskiego ładu naturalnego.

## Problemy

# Maurycy hrabia Beniowski – odkrywca *non grata*

Karol Lew Pogorzelski

„Będzie to znaczna rzecz w historii żegluga, że jedna kupa kryminalistów wynalazła tę drogę przez obszerne morza, o której całe narody przez długi czas dowiedzieć się nie mogły”<sup>1</sup>.

Książę Wiaziemski

### Agenci, intrygi i fałszerstwa

Nazwisko Beniowski nic dziś w zasadzie nikomu nie mówi. Niektórym kołacze się w głowie dramat Słowackiego o takim tytule, ale kto dziś czyta dzieła spoza lektur szkolnych? Nikt zaś, jeśli go zapytać o wielkich podróżników, odkrywców, czy awanturników nie wspomni o Maurycym Beniowskim. Swego czasu jednak była to postać sławna, portretowana w licznych utworach literackich<sup>2</sup>. Jego pamiętniki doczekały się kilkudziesięciu wydań w sześciu językach. Jednak z biegiem czasu Beniowski zaczął być postrzegany jako kłamca i blagier, niejako rodzimy odpowiednik barona Münchhausena, który zmyślał swoje barwne przygody i niezwykle czyny. Wszystko wskazuje jednak na to, że Maurycy Beniowski nie był oszustem i rzeczywiście odbył podróż, tak jak ją opisał w swoich pamiętnikach<sup>3</sup>. Natomiast wiarygodność jego osoby została podważona wskutek celowej intrygi. Dość powiedzieć, że pierwszy wydawca i mecenas Beniowskiego, John de Magellan, zmarł na tajemniczą chorobę, co wstrzymało publikację pamiętników na

siedem lat. Na domiar złego, połowa rysunków, w tym mapa żegluga, spłonęło w jeszcze bardziej tajemniczym pożarze w pracowni rytownika Heatha. Zniknęły także wszystkie kopie rękopisu pamiętników, oprócz jednej, zdeponowanej w British Library. Przy zachowaniu wzmoczonych środków ostrożności (tekst był przesyłany do druku fragmentami) wydania podjął się przyjaciel Magellana, William Nicholson. Wkrótce w prasie europejskiej (np. w *Gentleman's Magazine*, ale także w *Wiadomościach Warszawskich*) pojawiły się artykuły „anonimowych korespondentów”, podważające wiarygodność pamiętników. Beniowski był przedstawiany jako zbiegły oszust-kryminalista, który pragnie zyskać rozgłos, tworząc na swój temat legendy. Dopiero ponad sto lat później, gdy opublikowano część rosyjskich archiwów, okazało się, że faktycznym inspiratorem artykułów był książę Wiaziemski – minister finansów, sprawiedliwości i spraw wewnętrznych Rosji. Autorami publikacji skierowanych przeciwko Beniowskiemu były takie postaci jak tajny radca rosyjskiego ministerstwa spraw zagranicznych Riezanow, czy hrabia Błudow. Dla czego dyplomacji rosyjskiej tak bardzo zależało, by nie dopuścić do publikacji pamiętników Beniowskiego, a kiedy już się ukazały, by zdyskredytować je w oczach opinii publicznej? Rzecz wyjaśni się dopiero, gdy przyjrzymy się ich zawartości.

### Odyseja Beniowskiego

Pamiętniki rozpoczynają się krótką wzmianką Beniowskiego o służbie w konfederacji barskiej. Po jej upadku Beniowski wpada w ręce Rosjan i zostaje zesłany na Syberię, najpierw do Kazania, potem, po nieudanej próbie ucieczki, do Bolszeriecka na Kamczatce. W Bolszeriecku Maurycy Beniowski staje się przywódcą spisku, w wyniku którego miasto zostaje zajęte wraz ze stojącym w porcie statkiem o wdzięcznej nazwie „Śś. Piotr i Paweł” Mimo że administracja carycy Katarzyny dokona-

<sup>1</sup> „Wiadomości Warszawskie”, cyt. za: Edward Kajdański, *Tajemnica Beniowskiego: odkrycia, intrygi, fałszerstwa*, Warszawa 1994.

<sup>2</sup> Można tu wymienić: dramat Augusta von Kotzebue *Hrabia Beniowski albo spisek na Kamczatce*, poemat dygresyjny Słowackiego *Beniowski* oraz dyptyk *Ocean i Beniowski* Wacława Sieroszewskiego.

<sup>3</sup> Pamiętniki Beniowskiego ostatni raz były publikowane w Polsce jeszcze przed I wojną światową i są bardzo trudno dostępne. Z treścią pamiętników można się zapoznać z opracowań: Edward Kajdański, *Tajemnica Beniowskiego* 1994; Janusz Roszko, *Awanturnik nieśmiertelny*, Katowice 1989; Leon Orłowski, *Maurycy August Beniowski*, Warszawa 1961.

ła wszelkich starań, by ukryć swoją porażkę, wydarzenia te odbiły się głośnym echem wśród okolicznych Kamczadali, którzy do dziś opowiadają sobie legendę o „Augustie Polaku”. Maurycy Beniowski tymczasem objął dowództwo nad liczącą osiemdziesiąt pięć osób załogą i skierował „Śś. Piotra i Pawła” na północ, ku cieśninie Beringa, i dalej, aż do Wyspy św. Wawrzyńca, leżącej na sześćdziesiątym czwartym stopniu szerokości geograficznej północnej. Następnie Beniowski skierował swój statek na wschód, ku wybrzeżom Alaski, które osiągnął na wysokości Przylądka Rumiancewa (dziś: *Cape Romanozoff*). Został tym samym pierwszym Europejczykiem, który odkrył wybrzeże Ameryki na tej wysokości. Dopiero w roku 1820, czyli pięćdziesiąt lat później, rosyjska ekspedycja Sziszmariewa odkryła je po raz wtóry. „Śś. Piotr i Paweł” skierował się następnie na południe, wzdłuż wybrzeży Alaski, aż do wyspy Kodiak, po czym zawrócił na zachód i po krótkim pobycie na Aleutach popłynął na południowe Wyspy Kurylskie. Były to obszary zupełnie nieznanne Europejczykom, o czym świadczy konsternacja oficera trzeciej ekspedycji Cooka, który znalazłszy się w tym samym miejscu siedem lat później napisał: „Byliśmy dosłownie otoczeni rzekomymi odkryciami wcześniejszych żeglarzy i nie mieliśmy pewności, gdzie powinniśmy się skierować. Na południu i na południowym wschodzie na francuskich mapach była umieszczona grupa pięciu wysp, nazwanych «Trzy siostry», «Zellany» i «Kunashir». Byliśmy około dziesięć mil, zgodnie z tymi samymi mapami, od Ziemi Da Gamy... Z drugiej zaś strony, jeśli zawierzyć pierwotnemu położeniu tego lądu, ustalonemu przez Texiera, to leży on na południowym zachodzie, a ponieważ Ziemia Kompanii, Ziemia Stanów i słynna Ziemia Jeso również przypuszczalnie leżą w tym samym kierunku wraz z grupą wspomnianą wyżej na rosyjskich mapach, skierowaliśmy się na zachód”. Opuściwszy Kuryle, Beniowski skierował się na południe wzdłuż wysp Bonin i Aogasima, zaznaczanych na mapach jako *terra incognita*. Warto wiedzieć, że Maurycy Beniowski prowadził dokładną dokumentację kartograficzną i etnograficzną całej swojej podróży. Kolejnym etapem rejsu „Śś. Piotra i Pawła” jest Formoza (Tajwan). Statek zawija do niej na kilka dni, po czym udaje się w kierunku portu w Makau, który osiąga 22 września 1771 r. po stu trzydziestu czterech dniach od wypłynięcia z Bolszeriecka. Tam Beniowskiemu wraz z załogą udaje się zaokrętować na dwa statki francuskie, którymi przetransportowano uciekinierów z Kamczatki do Europy. Niespokojny duchem kapitan „Śś. Piotra i Pawła” odbywa w swoim życiu jeszcze wiele podróży. Podczas jednej z nich Beniowski zostaje mianowany przez rdzennych mieszkańców Madagaskaru królem (okazuje się, że jest zaginionym synem córki wo-

dza). Ginie w 1786 r., broniąc swoich poddanych przed francuską interwencją, której celem było zdobycie czarnych niewolników.

### **Prywatny odkrywca versus ambicje mocarstw**

Na pierwszy rzut oka trudno się zorientować, dlaczego Rosja czuła się zagrożona treścią pamiętników Maurycyego Beniowskiego. Na pewno nie bez znaczenia był fakt, że Polacy uznali go za romantycznego bohatera, który zbrojnie zdobył garnizon na Kamczatce a następnie uciekł z zesłania na porwanym statku. Dużo groźniejsze były jednak informacje, które przywiózł ze sobą Beniowski. Do czasu jego ucieczki, Europejczycy nie wiedzieli<sup>4</sup>, skąd pochodzą cenne futra, które Rosjanie z ogromnym zyskiem wymieniali w handlu z Chinami. Sądzono, że zdobywa się je na Syberii, podczas gdy pochodziły z wyspy Beringa i Aleutów, nad którymi Rosja nie sprawowała żadnej kontroli. W związku z tym, także inne państwa europejskie mogły bez większych przeszkód czerpać z nich korzyści. Beniowski ujawnił ponadto, że wschodnie obszary Syberii były bardzo słabo strzeżone. Wskutek olbrzymiej odległości, jaka dzieliła te tereny od Rosji europejskiej oraz trudnych warunków transportu, brakowało tam armat i amunicji. W efekcie, północno-wschodnie wybrzeża Azji mogły stać się łatwym łupem europejskiej floty. Warto też pamiętać, że w ówczesnych stosunkach międzynarodowych panowała zasada pierwotnego zawłaszczenia. To państwo, które jako pierwsze zajęło nieznan wcześniej obszar, stawało się jego właścicielem. Mapy i szkice Beniowskiego mogły zmniejszyć przewagę, jaką w zakładaniu nowych kolonii nad innymi państwami miała Rosja. Pamiętniki Beniowskiego godziły tym samym w jej żywotne interesy, co tłumaczy determinację, z jaką urzędnicy carscy starali się nie dopuścić do ich publikacji.

Inne natomiast okoliczności sprawiły, że niechętna Beniowskiemu była także Wielka Brytania. Otóż w czasie, gdy „Śś. Piotr i Paweł” żeglował po morzu Beringa, rząd Jego Królewskiej Mości przygotowywał trzecią ekspedycję Jamesa Cooka, której celem były te same obszary. Przypomnijmy, że w geografii, podobnie jak w stosunkach międzynarodowych, panuje zasada pierwotnego zawłaszczenia. Ten, kto pierwszy odkryje nowy skrawek lądu, ma prawo go nazwać. Drugim zdobywcom pozostaje jedynie gorzyc rozczarowania. Dlatego w żywotnym interesie Anglii było podważenie wiarygodności Beniowskiego jako odkrywcy. Nieprzypadkowo

<sup>4</sup> Warto wiedzieć, że rosyjska wyprawa Beringa, podczas której odkryto m.in. Morze i Cieśninę Beringa, była utrzymywana w tajemnicy.

w sprawozdaniu z ekspedycji Cooka znalazła się relacja Gierasima Izmailowa, który podając się za uczestnika wyprawy Beniowskiego zaprzeczał, iżby „Śś. Piotr i Paweł” popłynął na północ. W rzeczywistości Izmailow został wysadzony ze statku na Wyspie Beringa (znajdującej się zresztą na północ od Kamczatki) za próbę wzniecenia buntu. Zastanawiający jest również fakt, że opóźnienie publikacji pamiętników Beniowskiego trwało akurat do momentu, w którym ukazał się drukiem dziennik z ekspedycji Cooka.

### Polityka kartograficzna

Aby państwo trwało, jego obywatele muszą mieć poczucie, że tworzą wspólnotę. Dzięki takiemu poczuciu mogą powiedzieć, że „nasi” polecili na księżyc, albo „my” wygraliśmy pod Beresteczkiem, lub „my” odkryliśmy Amerykę. Jednak nie każdy wygrywa w bitwie i nie wszyscy mogą odkrywać nowe lądy, dlatego państwa muszą konkurować ze sobą o zaszczyty. Z pomocą polityki historycznej nawet przegraną można zamienić w zwycięstwo, polityka kartograficzna zaś pozwala fabrykować odkrycia. Historia Maurycego Beniowskiego jest tego doskonałym przykładem. Ani Rosja, ani Anglia nie mogły pozwolić, żeby jakiś zesłaniec, podający się na domiar złego za Polaka, ubiegł „naszego” Cooka, czy „naszego” Dieżniewa. Nie należy mieć złudzeń, że przypadek Beniowskiego jest odosobniony.

Warto przypomnieć chociażby postać Frederica Cooka – syna niemieckiego emigranta, który w 1908 r. jako pierwszy zdobył Biegun Północny. Niestety w tym samym czasie do tego samego wyczynu przygotowywał się, sponsorowany przez National Geographic, Robert Peary. Rozpoczęto w związku z tym szeroko zakrojoną kampanię medialną, której celem miało być podważenie wiarygodności niezależnego podróżnika Frederica Cooka. W ten sposób zrobiono miejsce dla oficera Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, Roberta Peary'ego. Kampania była na tyle skuteczna, że do dziś uważa się, iż to ten ostatni był zdobywcą Arktyki.

Historia Beniowskiego uwidacznia też, że prasa to subtelne narzędzie władzy, wykorzystywane tak samo, niezależnie od miejsca i czasu. Znamienna jest w tym względzie treść depechy, którą wysłała caryca Katarzyna II do rosyjskiego dyplomaty Siemiona Woroncowa, po tym jak ten poinformował ją, że w Anglii pojawiła się gazeta, publikująca niechętnie Rosji artykuły. „Na to są trzy sposoby – odpowiedziała – 1) zaciągnąć autora, gdzie się da i obić, 2) przekupić lub zniszczyć, 3) pisać na obronę”<sup>5</sup>.

<sup>5</sup> B. Aleksandrienko 1895, *Anglijskaja peczat' i otnoszenie k niej ruskich diplomaticzeskich agentow w XVIII stoletii*, [w:] „Russkaja Starina”, nr 10, s. 113, [za:] Edward Kajdański, *Tajemnica Beniowskiego: odkrycia, intrygi, fałszerstwa*, Warszawa 1994.

## Eurosauron i hobbici\*

Andrzej Fiderkiewicz

Historia Wysp Normandzkich to doskonały materiał dla autorów powieści historycznych. Niestety walec unifikacji, który rażno toczy się po rozległych obszarach Europy niedawno przypomniał sobie o istnieniu tego zakątka Północnego Atlantyku. Nie, nie chodzi mi tu o znane z bardzo luźnych regulacji finansowych i niskich podatków wyspy Jersey i Guernsey ale o niewesoły los do niedawna prawie nikomu nieznaney wysepki Sark. Wysepka ta, zamieszkała przez sześciuset mieszkańców z których wielu posługuje się na co dzień archaicznym francuskim dialektem *sercquias*, jest ostatnim w pełni feudalnym państwem europejskim. Nie wolno tam używać samochodów i nie płaci się podatku dochodowego. Jedynie Suwerenowi, „władcy” wyspy przysługuje prawo hodowania gołębi. Na wyspie wciąż funkcjonuje *Clameur de haro*, starożytne normańskie prawo odwołania się do pana feudalnego. Ktoś, kto pragnie odwołać się do suwerena musi przy świadkach odmówić Modlitwę Pańską po francusku i zakrzyknąć *Haro, Haro, Haro! À mon aide mon Prince, on me fait tort! (Na pomoc, mój księżę, ktoś czyni mi krzywdę)*. Następnie skarga powinna zostać w ciągu doby zarejestrowana w sądzie wyspy i czekać na rozstrzygnięcie Suwerena. Po raz ostatni skorzystano z *Clameur de haro* w 1970 roku w celu zakończenia sąsiedzkiego sporu o budowę muru dookoła ogrodu.

Przez kilka lat na Sark mieszkał Mervyn Peake, słynny angielski pisarz i malarz, autor surrealistycznej trylogii o przygodach Tytusa, siedemdziesiątego siódmego hrabiego Groan. Starsi wiekiem wyspiarze po dziś dzień wspominają go jako dziwaka, Peake lubił bowiem w ciepłej porze roku wnosić sztalugi przed dom i malować ubrany jedynie w kapelusz na głowie. W roku 1991 bez-

Tekst jest nieco poszerzoną wersją artykułu, który ukazał się na blogu autora: <http://studyta-arseniusz.blogspot.com/>

robotny francuski fizyk uzbrojony w karabin półautomatyczny podjął próbę jednoosobowego podboju wyspy jednak został aresztowany przez farmera Philippa Perree pełniącego na wyspie funkcję policjanta.

W Średniowieczu Sark stanowiła bazę piratów grających po kanale La Manche, z których najsłynniejszy był niejaki Eustachy Mnich. Od XVI wieku rządzona jest przez Wielkich Suwerenów (Seigneurs). Obecnie, XXII Suwerenem wyspy jest pan John Michael Beaumont. Czterdziestu „panów feudalnych” Sark zwanych Tenants (w rzeczywistości są to zasobni farmerzy, potomkowie pierwszych mieszkańców) dzierżawi wieczyste ziemię od Suwerena. Każdy nowy Tenant powinien, zgodnie z prawem złożyć przysięgę na wierność angielskiemu monarsze oraz wpłacić trzynastą część wartości zakupionego majątku na rzecz swojego bezpośredniego pana, Suwerena Sark. I tu zaczyna się cała sprawa. Kiedy brytyjscy bliźniacy miliarderzy David i Frederick Barclay zakupili od potomków jednego ze zmarłych Tenants sąsiadującą z Sark wysepkę Brecqhou, nie spodobała im się perspektywa przysięgi i konieczność zapłaty trybutu. Jak wielu zachodnich dorobkiewiczów są to straszliwe kutwy a w ich filisterskich głowach nie mieścił się jakikolwiek udział w cuchnącej stęchlizną Średniowiecza feudalnej ceremonii.

Zwichrowany lecz czasem nieoceniony brytyjski blog Samizdata jako pierwszy w Internecie opisał „spra-

wę Sark”. Bliźniacy użyli najlepszej broni: swojej gazety *The Daily Telegraph* i moralnego odpowiednika kija bejsbolowego, czyli „praw człowieka”. Okazało się, że ustrój polityczny wyspy Sark jest sprzeczny z Konwencją Europejską. Wysepka potrzebuje wolnych wyborów, podatków i prawa odpowiadającego współczesnym standardom. *Full accountability*, znaczy się. Mieszkańcy Sark i ich „pan” znaleźli się nagle w polu zainteresowania mediów oraz londyńskiej i brukselskiej biurokracji. W kwietniu tego roku mają odbyć się pierwsze wybory w dziejach wysepki, choć rzecz nie jest jeszcze przesądzona. Mieszkańcy wyspy nie kryją swojej niechęci do intrygi paskudnych braciszków: „Feudalizm to doskonały system, który przyniósł wyspie wiele dobrego” powiedziała jedna z osobistości wyspy, pani Jennifer Cochrane w telefonicznym wywiadzie dla brytyjskiej gazety. Całą sprawę celnie komentuje obecny Suweren: „Obawiam się, że przejście do pełnej demokracji wymusi zatrudnienie wielkiej ilości urzędników. A przecież nam nie chodzi o to, żeby żyć w dalekiej przeszłości, chcemy po prostu zachować nasze tradycje.” That’s true for everybody, isn’t it – zapytuje pan Beaumont, ale jak widać, nie jest to oczywiste dla wszystkich.

Oko europejskiego Saurona niestrudzenie poszukuje ostatnich Hobbitonów, rozsianych jeszcze gdzieś na ziemiach Europy.

## Ponowoczesność a szanse na europejski renesans etnokulturowy\*

*drakShyasi*

Nazwę „ponowoczesność” ukuł na określenie naszych czasów krytyk i myśliciel Jean-François Lyotard (*Kondycja ponowoczesna*, Warszawa 1997). Mówi się, że istotą tego prądu kulturowego jest ogólnie „nieufność w stosunku do metanarracji”, co w istocie oznacza rozpowszechnienie sceptycyzmu wobec systemów, które przedstawiają się jako nośniki pewnych uniwersalnych prawd. Nie jest to obserwacja całkiem nowa, bowiem już Nietzsche, w swej proklamacji śmierci Boga, zawarł argument podobny do argumentu Lyotarda. O ile jednak Nietzsche, wkładając swe słowa w usta szaleńca, mógł uważać się za przedwczesnego proroka, to począwszy od lat 60. ubiegłego wieku konsekwen-

Nota od redakcji:

Przedstawiamy artykuł z angielskiego, konserwatywno-anarchistycznego pisma „Synthesis”. Autor tekstu, piszący pod pseudonimem drakShyasi (co w wolnym tłumaczeniu z sanskrytu oznacza: „ujrzysz”, „zobaczysz”), stara się pokazać, że choć postmodernizm jest na ogół kojarzony z duchową i kulturową degeneracją świata Zachodu, to charakterystyczny dla niego klimat sceptycyzmu wobec wszystkich metanarracji może – odpowiednio wykorzystany – stanowić szansę europejskiego rozwoju etnokulturowego. Jeśli bowiem umierają wszystkie „wielkie opowieści”, to padają także tradycyjne źródła legitymizacji władzy (demoliberalizm), umierają kolektywy (społeczeństwa), giną wielkie pomysły na organizację życia społecznego (wielokulturowość). drakShyasi skupia się na kulturze, lecz jego rozumowanie można rozszerzyć, argumentując – jak uczynił to np. Juliusz Jabłecki w edytoriale do grudniowego numeru „LF” – że postmodernizm jest także szansą na narodziny nowego porządku społecznego – Hoppeańskiego ładu naturalnego. Zapraszamy do lektury.

\* Oryginał dostępny na stronie: <http://www.rosenoire.org>. Opracowanie i tłumaczenie: Juliusz Jabłecki.

cje śmierci Boga w pełni się urzeczywistniły, ujawniając się najwyraźniej w degeneracji kultury, zmierzającej w kierunku nihilistycznej próżni, trwałej nicości. Zachód nie szuka już inspiracji w przeszłości ani nie śni o przyszłości, która byłaby znacznie lepsza niż teraźniejszość. Widać więc, że rzeczywiście dożyliśmy czegoś w rodzaju „końca” i postmodernistyczne tezy o „końcu historii” lub „końcu świadomości historycznej” w obecnej sytuacji kulturowej na Zachodzie niewątpliwie brzmią przekonująco. Śmierć Boga, która dokonała się już w pełni, przejawia się dziś w kulturze pesymizmu, pozbawionej jakiegokolwiek trwałego punktu zaczepienia poza nienasyconym konsumpcjonizmem i wszechogarniającą płycizną.

Oświecenie było pierwszą epoką, w której triumfalnie ogłoszono śmierć Boga, lecz była to tylko pusta deklaracja, ponieważ Bóg przybrał natychmiast postać Człowieka – owego uniwersalnego konstruktów, na którym miała się oprzeć nowa religia humanizmu. Humanizm i komunizm zastąpiły po prostu jeden transcendentny byt drugim i porywając się na coś, co nie udało się nawet chrześcijaństwu, postanowiły stworzyć wizję „uniwersalnej ludzkości”. I choć zarówno humanizm, jak komunizm opuściły już światowy teatr idei, to ich dziedzictwo trwa nadal w formie neoliberalnego kapitalizmu<sup>1</sup> i lewicowych „studiów kulturowych”.

Tryumf neoliberalnego kapitalizmu, będącego w istocie produktem ubocznym humanizmu, zastał ludzi zredukowanych do poziomu trybików w jednej, wielkiej maszynie finansowej. Przy tym głębsze spojrzenie ukazuje, że dokonał się on dzięki wyzuciu z treści takich pojęć, jak narody, kultury, ojczyzny – tworów postrzeganych jako „dzielące”, a w związku z tym wrogich systemowi, który dąży do całkowitego ujednoczenia świata. Także ideologia komunizmu nader nieprzyjaźnie odnosiła się do wszelkich różnic kulturowych czy etnicznych i za wszelką cenę starała się je rozmyć, widząc w nich główne źródło „zniewolenia”. W tej chwili upadek komunizmu mamy już szczęśliwie za sobą, lecz jego dorobek wciąż trwa, jak rak, w coraz większym stopniu pochłaniający tkankę zachodniego środowiska akademickiego. Znajdując w nim bezpieczne schronienie, przekształcił się w postmodernizm – ideologię głoszącą koniec wszelkich metanarracji jako wyzwolenie z niewoli „sensu” i „prawdy” (postrzeganych jako dzielące ludzi i opresyjne) oraz proponując w zamian uniwersalny brak tożsamości. Ten ostatni zaś powstałby z nieskończonej wielości różnych „nieistotnych” tożsamości i z trywialnej „zabawy” strzępami myśli i okruchami dorobku kulturowego przeszłości.

W zakresie, w jakim zarówno kapitalizm, jak lewicość doprowadziły nas, wprawdzie nieco innymi drogami, do śmierci pojęcia Boga i jego ziemskiej personifikacji – Człowieka, oba te nurty pragnęły narzucić światu nową hegemonię, nową uniwersalizację. Ta nowa, minimalistyczna, transcendentna wizja to w neoliberalizmie rynek, rozumiany jako najistotniejsza, unifikująca siła, która dla osiągnięcia swego celu absolutnej monopolizacji świata, musi najpierw zniszczyć wszelką różnorodność. Z kolei transcendentna wizja, oferowana przez postmodernistyczną lewicę, to uniwersalna nicość, kategorię braku sensu i prawdy, który – na co liczą protagoniści tego poglądu – położy kres wrogości i podziałom, czyniąc wszystko jedynie kwestią szczególnych „uwarunkowań” i sprowadzając wszelkie różnice do „konstrukcji kulturowych” (np. „natury”). Te ostatnie zaś powinny być według lewicy raz na zawsze wyrugowane lub wymieszane razem w tygł „tolerancji”. Zatem w ostatecznym rozrachunku obie wspomniane ideologie zdają się mieć jeden wspólny cel, którym jest całkowite zniszczenie kultury, tradycji i etniczności.

Oczywiście lewicowcy dużo mówią na temat wartości „stłamszonych”, postkolonialnych kultur i nie ustają w formułowaniu samonienawistnych oskarżeń pod adresem europejskiej cywilizacji. Nie można jednak dać się zwieść. Zachwyty nad obcymi kulturami etnicznymi jest wyrazem poprawności politycznej, a przeto bezmyślności. Lewicę motywuje bowiem nie tyle sympatia do kultur pozaeuropejskich, co nienawiść do własnej kultury i własnego dziedzictwa. Trzeba natomiast wiedzieć, że ostatecznym celem – lub nieuniknionym rezultatem – lansowania nieeuropejskich kultur i popierania kolorowej imigracji jest doprowadzenie do zaniku pojęcia „różnic etnokulturowych”. Wszak powstanie wielokulturowego społeczeństwa musi doprowadzić do dezintegracji jego pojedynczych części składowych, czyli **wszystkich** etniczności i kultur, które łączą się z sobą i krzyżują, tworząc jedno, wielkie, szare morze nicości.

Taka jest zatem właśnie nasza postmodernistyczna rzeczywistość: uniwersalna prawda zniknęła, a zastąpił ją wyzuty z ducha, globalny neoliberalizm i nihilistyczna, lewicowa wizja stosunków społecznych. Jednakże pojawienie się „ponowoczesności” nie musi być wcale powodem do rozpaczy, ponieważ istnieje jeszcze inny kierunek zmian, umożliwiony zresztą przez sam impas, z jakim związany jest postmodernizm. Otóż, jak widzieliśmy, ponowoczesność to w istocie dziedzictwo śmierci Boga, lecz tak rozumiany koniec pewnej uniwersalności potencjalnie więcej drzwi otwiera, niż zamyka. „Śmierć” chrześcijańskiej wizji Boga oraz Człowieka, który był Jego tymczasowym urealnieniem, kładzie koniec z jednej strony wiekom niewolniczego przywiązania do ideologii, pragnącej przypasować każdego człowieka do jednej i tej samej formy wiary, a z drugiej przekonaniu, że istnieje pewien uniwersalny byt, zwany „Człowiekiem” czy

<sup>1</sup> Autor odwołuje się tu oczywiście nie do anarchistycznego systemu opartego w pełni na własności prywatnej, lecz do neoliberalnych koncepcji wolnego rynku, *de facto* oznaczających kapitalizm polityczny, o którym pisaliśmy już w poprzednim numerze LF – przyp. JJ.



„Istotą Ludzką”, a nie mnogość różnych odmian jednego gatunku zwierzęcego, który wprawdzie określamy wspólnym mianem *homo sapiens*, ale który dzieli się na setki rozmaitych etnokulturowych podgrup. Neoliberalowie i lewicowcy próbują ograniczyć tę różnorodność lub traktować ją jako coś wulgarne i sztuczne, ale skoro świat Zachodu przestał już trzymać się holistycznej wizji ludzkości, skoro porzucił jedną narrację, do której każdy z „nas” musiałby pasować, to całkiem uzasadniony wydaje się powrót do tego wszystkiego, co lokalne: „małych wizji”, tradycji i prawdziwej różnorodności. Słowem, postmodernizm może być czasem etnokulturowego odrodzenia.

Jeśli zaniechaliśmy prób udzielania jednej odpowiedzi na wszystkie pytania, jeśli odrzuciliśmy koncepcję tworzenia „jednego świata”, skupionego wokół jednej wizji rzeczywistości – chrześcijaństwa, humanizmu, komunizmu itd. – to w istocie odrzuciliśmy obcą wizję i teraz mamy wreszcie wyjątkową w dziejach okazję, aby wyrazić europejską etniczność i tradycję, wolni od ciężaru „nawracania” na nie świata, a w tworzeniu naszej własnej etyczno-duchowej

wizji niezależni od cudzego (tzn. np. judaistycznego) dziedzictwa. Postmodernizm może być więc potencjalnie drogą do uratowania świata zniszczonego chrześcijaństwem i jego następstwami, świata wielu kultur i etniczności, w którym mają one szansę żyć przyjaźnie i ugodowo, lecz oddzielnie od siebie, zachowując w ten sposób bogaty dorobek prastarych narodów i odwracając aktualny trend zapadania w bezkulturową próżnię. Stoimy dziś na rozdrożu. Jedna ścieżka prowadzi w stronę, w którą cały czas do tej pory zmierzaliśmy, tzn. ku ahistorycznej, dekadentycznej antykulturze, nie wypełnionej jakimkolwiek tożsamościowym spoiwem. Koszmarną wizję celu, do którego się powoli zbliżamy, można odnaleźć we współczesnej, zurbanizowanej Ameryce. Jednak w zasięgu wzroku jest także inna wizja – wizja Europy odrodzonej, zjednoczonej wokół wspólnego, etnokulturowego dziedzictwa, lecz obejmującej także rozłączne różnorodności lokalnych etnokultur – anglosaksońskich, germańskich, słowiańskich itd. – powiązanych nicią wspólnej krwi, historii, przeznaczenia i tworzących wspólnie wyższą jedność.

## Przez ciemne zwierciadło

Łukasz Kowalski

*A Scanner Darkly* (*Przez ciemne zwierciadło*) to film Richarda Linklatera na podstawie powieści Philipa K. Dicka. Jego tytuł to aluzja do fragmentu *Pierwszego Listu do Koryntian*: „Teraz widzimy jakby w zwierciadle, niejasno; / wtedy zaś [zobaczymy] twarzą w twarz: / Teraz poznaję po części, / wtedy zaś poznam tak, jak i zostałem poznany” (1 Kor 13, 12).

Kiedy Bob Arctor, uzależniony od Substancji D agent Fred, wraca z posterunku policji w Orange County w Kalifornii do swojego domu, w którym za jego wiedzą zainstalowano urządzenie szpiegujące, pyta: „Co widzi skaner? Coś w głowie? W sercu? Skanuje moje ciało? Nasze ciała? Jasno czy jak przez ciemne zwierciadło?”. I sam odpowiada: „Mam nadzieję, że widzi jasno, bo samemu nie mogę już spojrzeć w głąb siebie. Widzę ciemność. Mam nadzieję, że [skanery] radzą sobie lepiej, dla dobra wszystkich. Bo jeśli widzą jak przez ciemne zwierciadło, w taki sposób, w jaki ja widzę, to jestem przeklęty. Przeklęty na wieki. Umrzemy znając zaledwie mały fragment rzeczywistości i na dodatek źle go pojmując”, odbijając echem słowa Philipa Dicka: „Żyjemy w społeczeństwie, w którym media, rządy, wielkie korporacje, grupy religijne i polityczne tworzą kłamliwe wizje rzeczywistości. W moim pisarstwie pytam: Co jest prawdziwe? Ponieważ nieustannie jesteśmy bombardowani wizjami pseudorzeczywistości, fabrykowanymi przez wysokiej klasy specja-

listów używających bardzo wyrafinowanych mechanizmów elektronicznych”<sup>1</sup>.

Zastosowana przez Linklatera technika animacji rotoskopowej (*rotoscoping*), która w reżyserowanym przez niego *Życiu świadomym* (*Waking Life*) mogła denerwować i przeszkadzać w oglądaniu (zbyt rozedrgany obraz), tutaj została uspokojona, dodaje filmowi dickowskiej atmosfery i sygnalizuje, że nie do końca wiadomo, co jest realne, a co nie. Pozwala też na ciekawe wykorzystanie komiksowych dymków, w których pojawiają się myśli bohaterów (Barris fantazjujący o kelnerce; policjant, który zapomniał treści *Miranda warning*) i włączenie do filmu przyspieszonej sekwencji – niczym przewijanej kasety wideo.

Paweł Marczewski tak opisał zastosowanie techniki rotoskopowej w *A Scanner Darkly*: „(...) animacja pasuje do tej historii jak ulał. Bob Arctor jest agentem tropiącym handlarzy narkotyków, który nie do końca zdaje sobie sprawę, że sam uzależnił się od zaburzającej świadomość substancji D. Wykonując obowiązki służbowe Bob nosi osobliwy strój maskujący, jednak nie tylko on jeden skrywa swoje prawdziwe oblicze. Mało tego – Arctor tak naprawdę nie wie, jakie jest owo prawdziwe oblicze i czy w ogóle istnieje. Nieustannie towarzyszy mu niepewność, co do własnej tożsamości, a otaczający go przyjaciele, sami pogubieni i dręczeni różnymi obsesjami, nie są zbytnio pomocni. Animacja rotoskopowa sprawdziła się tutaj znakomicie.

<sup>1</sup> Cytat za: George Walkley, *No Paycheck*, „Ink”, III 2004, s. 39-42.

Dodatkowo podkreśla umowność ekranowej rzeczywistości sprawiając, że wątpliwości bohaterów, co do jej prawdziwego kształtu udzielają się również widzowi<sup>2</sup>. Podobnie ocenili *rotoscoping* Frank Heirtzler<sup>3</sup> i sam Richard Linklater<sup>4</sup>.

Paweł Marczewski twierdzi, że „Film Linklatera, podobnie jak książki Dicka, uwodzi absurdalnym humorem, ale w gruncie rzeczy jest rozpaczliwym wołaniem o pomoc<sup>5</sup>”. Czy rzeczywiście?

Czy *A Scanner Darkly* jest smutny? Przepęlniony rozpaczą? Na pierwszy rzut oka: tak. Ludzie sobie nie ufają. Potrzebę doznań duchowych zaspokajają narkotyki. Wszechobecna paranoja powoduje, że każde z rozwiązań wydaje się jednakowo beznadziejne. Ale nawet gdy Bob opowiada z nienawiścią o swoim wymyślnym życiu z żoną i dwiema córeczkami w „normalnym”, „przeciętnym” świecie (przypominającym scenki z gry komputerowej *Max Payne – Part I: The American Dream*), nawiedzonym przez demoniczną kosiarkę i mały niebieski kwiat, dostrzega w „mrocznym świecie” „rzeczy zaskakujące”, a czasem „drobne cudowne rzeczy”.

Bill Muller, autor recenzji w „The Arizona Republic”, napisał: „Sytuacja Freda/Arctora może wydawać się beznadziejna, ale opowieść Dicka taka nie jest. W miarę zbliżania się do końca następują niespodziewane zwroty akcji i autor pozostawia nam małą iskierkę nadziei<sup>6</sup>”.

W wywiadzie z Mike'm Russellem Richard Linklater stwierdził, że – aby pozostać wiernym intencjom Dicka – postanowił, że film będzie jednocześnie „komedią pełną gębą” i „tragedią pełną gębą” – „będą się przenikały<sup>7</sup>”.

Jest w filmie samozwańczy naukowiec złota rączka Barris, który uzyskuje kokainę z produktów codziennego użytku, a w wolnych chwilach instaluje w domu Arctora zaawansowany technicznie system alarmowo-spiegujący. Jest dyskusja o tym, ile biegów ma osiemnastobiegowy rower. Charles Freck i jego nieudana próba samobójcza. Tłumik Jima.

Kiedy trójka bohaterów dokonuje inspekcji domu Arctora w poszukiwaniu aparatury podsłuchowej, Barris snuje przypuszczenia na temat możliwego przebiegu policyjnej prowokacji, a rozhisteryzowany Ernie dochodzi do wniosku, że „nic nie możemy zrobić”, w oryginale okraszając swoją wypowiedź serią przekleństw: „Shit, shit, shit. We can't do anything. We're fucked, man. Fuck.”

A całemu zamieszaniu winien jeden skręt.

<sup>2</sup> Paweł Marczewski, *Obieranie warstw rzeczywistości*, <http://www.filmweb.pl>

<sup>3</sup> Frank Heirtzler, *Movie of the Week: A Scanner Darkly*, <http://franksfilms.blogspot.com>

<sup>4</sup> Mike Russell, *The CulturePulp Q&A: Richard Linklater*, <http://homepage.mac.com/merussell/iblog>

<sup>5</sup> Paweł Marczewski, *Obieranie warstw rzeczywistości*, <http://www.filmweb.pl>

<sup>6</sup> Bill Muller, *A Scanner Darkly*, <http://www.azcentral.com>

<sup>7</sup> Mike Russell, *tamże*.

Wszystkie filmy na podstawie twórczości Dicka, które zrealizowano przed *A Scanner Darkly*, koncentrowały się na pościgach i strzelaninie. Nawet w uznawanym często za arcydzieło *Łowcy androidów (Blade Runner)* widzimy głównie Harrisona Forda biegającego za replikantami i nachalny *product placement*. *Pamięć absolutna (Total Recall)* z drewnianym, choć zabawnym Arnoldem Schwarzeneggerem była po prostu nudna. *Raport mniejszości (Minority Report)* to sprawnie zrealizowany film sensacyjny, który z literackim pierwowzorem nie ma jednak prawie nic wspólnego. Steven Spielberg zupełnie pozmieniał przebieg akcji, a filmowy finał w stylu „i żyli długo i szczęśliwie” to po prostu kpina z Philipa Dicka. Najlepszymi ze zrealizowanych przed *A Scanner Darkly* filmów na podstawie jego twórczości wydają się stosunkowo słabiej znane *Impostor: Test na człowieczeństwo (Impostor)* Gary'ego Fledera i *Zaplata (Paycheck)* w reżyserii Johna Woo.

Wierne trzymanie się dobrze napisanego tekstu podczas tworzenia scenariusza i realizacji filmu daje zwykle dobre efekty. *A Scanner Darkly* jest wierny powieści Dicka, chociaż niestrudzeni tropiciele różnic wskazali ich kilkanaście<sup>8</sup>.

Reżyser podkreślił opisywany przez Dicka problem niemożliwej do wygrania „wojny z narkotykami” (*war on drugs*), która skutkuje tym, że ludzie są coraz bardziej inwigilowani<sup>9</sup>.

„Żyjemy w science-fiction” – mówi Linklater i podkreśla, że po 11 września 2001 spojrzal na *A Scanner Darkly* „w zupełnie nowy sposób” – „Metody działania władzy, inwigilacja, regulacje rządowe – wszystkie te elementy czynią ją [powieść Dicka] istotniejszą i bardziej aktualną niż kiedykolwiek. To, co wtedy [przed 11 września 2001] uznawano za paranoję, jest naszą rzeczywistością<sup>10</sup>”.

Armia Stanów Zjednoczonych wraz z sojusznikami „są aktywnie zaangażowane” w krajach, z których pochodzi roślina potrzebna do produkcji Substancji D. Usiłujące grać rolę żandarma światowego (*the world's policeman*) USA nie tylko atakują wybrane przez siebie cele poza granicami swojego kraju; zachęcają też Amerykanów, aby aktywnie włączyli się do budowy społeczeństwa, w którym każdy jest podejrzany i podejrzliwy.

„[Twórczość Dicka] To nie jest sci-fi z czasów, gdy byliśmy dziećmi. Nie jesteśmy na Jowiszu. [Dick] to rodzaj mroczniejszego science-fiction. I mamy to, co przewidywał – rząd i korporacje, które starają się ciebie warunkować. Odizolować ciebie od innych i od ciebie samego” – mówi Linklater<sup>11</sup>.

Korporacja „New Path” produkuje Substancję D, a jednocześnie kieruje „ośrodkami rehabilitacji” dla uzależnionych od

<sup>8</sup> *A Scanner Darkly (film): Differences between the novel and the film*, <http://en.wikipedia.org>

<sup>9</sup> Patrz też: Aaron Dykes, *'A Scanner Darkly' Provokes with Moody Rotoscoped Look and Gritty Police State, Surveillance Society*, <http://jonesreport.com>

<sup>10</sup> Mike Russell, *tamże*.

<sup>11</sup> Mike Russell, *tamże*.

narkotyku – kontrakt zawarty przez firmę z rządem gwarantuje, że ośrodki „New Path” nie będą w żaden sposób monitorowane.

„Ile bierzesz?” – pytają lekarka, Barris i Fred.

„Niewiele” – odpowiada Fred.

„Bardzo trudno powiedzieć. Ale niewiele” – odpowiada Freck.

„Niezbyt wiele. I nie kłuję się. Nigdy się nie kłulam i nigdy nie będę” – odpowiada Donna.

Tak tłumaczą swój nałóg narkomani. A jak tłumaczy swoją pracę tajny agent?

„Dali mi zwiariowaną robotę. Ale gdybym tego nie robił, robiłby to ktoś inny. I mógłby coś popsuć” – mówi Arctor, który jednak niezupełnie zdaje sobie sprawę z tego, co robi. Audrey i Mike wiedzą o tym doskonale.

„To taka wysoka cena.”

„Tak. Ale nie ma innej możliwości, żeby się tam dostać. Ja nie mogłem – a pomyśl, ile razy próbowałem. To miejsce jest absolutnie odizolowane. Wpuszczają tylko takich jak Bruce. Nieszkodliwych. Musisz być nieszkodliwy, inaczej nie podejmą ryzyka.”

„Tak, ale poświęciliśmy kogoś... żywą istotę, bez jej wiedzy. Gdyby rozumiał, gdyby sam się zgłosił... ale nic o tym nie wie i nigdy nie wiedział. Nie zgłosił się do tego.” „Jasne, że się zgłosił. To było jego praca.”

„Uzależnienie się nie było jego pracą. To nasza sprawka.”

(...)

„Wierzę, że zadaniem Boga jest zmieniać zło w dobro i jeśli tutaj działa, właśnie to robi... chociaż nasze oczy tego nie dostrzegają. Cały proces jest ukryty pod powierzchnią naszej rzeczywistości. Ujrzy światło dzienne później.”

Czy taka interpretacja może usprawiedliwić świadomy wybór tak zwanego „mniejszego zła” w imię celu, który uświęca środki?

A *Scanner Darkly* skłania do zastanowienia nad moralnością pracy szpiega. I nie chodzi tylko o paranoję, w którą wpada śledzący sam siebie Arctor. Ani o szerzenie podejrzliwości wśród najbliższych, zdawałoby się, ludzi. I nie tylko o zachęcanie do wzajemnego donoszenia na siebie („To musiała być zemsta. Tacy już są narkomani – donoszą na siebie za każdym razem, kiedy się wkurzą na siebie.”). Ani o absurdalność i śmieszność, którą obserwujemy, gdy Jim Barris dwukrotnie donosi Arctorowi i Donnie przebranych za Freda i Hankę na Arctora i Donnę. Może bardziej o to, że Fred nie zdaje sobie sprawy, że jest tylko pionkiem w grze, prowadzonej przez Audrey i Mike’a, a tak naprawdę przez kogoś stojącego wyżej – chociaż kto może zaręczyć, że to wszystko nie jest tylko częścią albo przykrywką jeszcze innej operacji? „Te wszystkie wasze wtajemniczenia, ponad którymi może istnieją jakieś inne wtajemniczenia, wzajemne śledzenie każdego przez każdego, to śmierdzi, po prostu. Ja wolę

mieć prostą sytuację”<sup>12</sup>, jak ujął to bohater książki Rafała Ziemkiewicza *Pieprzony los kataryniarza*, Robert.

W filmie pojawia się przyjaciel reżysera, amerykański dziennikarz Alex Jones, który w świecie rzeczywistym za pośrednictwem radia, telewizji oraz internetu ostrzega ludzi przed konsekwencjami *surveillance society* – społeczeństwa szpiegowanego i podglądanego 24 godziny na dobę; społeczeństwa, w którym nie ma miejsca na prywatność.

Krzyczącego przez megafon Alexa Jonesa, który w podobnej roli pojawił się w *Życiu świadomym* (*Waking Life*), widzimy na ekranie przez nieco ponad pół minuty. Udaje mu się wykrzyczeć protest przeciw „wojnie z narkotykami” (*war on drugs*): „Im bardziej rozszerza się ta wojna, tym więcej swobód tracimy; tym więcej Substancji D jest na naszych ulicach”. Chwilę później nadjeżdża czarna, nieoznakowana furgonetka; wyskakuje z niej grupa odzianych na czarno policjantów; obezwładniają Jonesa taserem, pakują do samochodu i odjeżdżają.

A *Scanner Darkly* zawiera sporo aluzji do samych twórców filmu, których twarze pojawiają się jako fragmenty *scramble suit* („kombinezonu zakłócającego”, pozwalającego ukryć tożsamość agentów policji). Na słuchawkach monitorującej rozmowy telefonicznej pracownicy aparatu ściągania pojawia się napis „Phil D.”. W czytanej przez oficera policji gazecie widzimy przez ułamek sekundy nagłówek „Alex Jones kandydatem” („Alex Jones runs for office”). Gdy w „ośrodku terapeutycznym” „New Path” Bruce wpatruje się w zawartość kubka, przychodzi na myśl Travis Bickle (Robert De Niro w *Taksówkarzu*), który przy stoliku w barze przygląda się rozpuszczanej w szklance wody tabletki.

Wzory na *scramble suit* wyświetlają się, dzieląc się mniej więcej w połowie – niczym dwie półkule mózgu, które tracą ze sobą łączność. Lekarze badający Freda i dostrzegający u pacjenta postępujące rozdwojenie jaźni odpowiadają na jego pytania, jak na ironię, chórem – niczym zaprogramowane maszyny.

Agent nazywa owcą kształt, który w kluczu testowym figuruje jako pies. „Jest wiele błędnych odpowiedzi, ale tylko jedna prawdziwa”. Fred pyta, czy ewentualnie leczenie odbędzie się w „New Path”? „Niewątpliwie” – wyrwa się jednocześnie z ust dwojga lekarzy.

„Dwie półkule mojego mózgu... rywalizują?” – próbuje się dowiedzieć Arctor. „Tak” – odbijają swoje odpowiedzi echem lekarze.

W całym realno-paranoicznym świecie Philipa K. Dicka znajdujemy – mimo wszystko – nadzieję i wiarę w wolną wolę człowieka. Sam pisarz mówił w odniesieniu do nałogu: „Nadużywanie narkotyków to nie choroba, to decyzja; tak jak decyzyja o wejściu na ulicę pod jadący samochód. Nie nazwiemy tego chorobą, tylko błędną oceną sytuacji”<sup>13</sup>.

<sup>12</sup> Rafał A. Ziemkiewicz, *Pieprzony los kataryniarza*, Warszawa 1999, s. 244.

<sup>13</sup> <http://www.quotationsbook.com>

# Turpizm i kult obrzydliwości w *Boracie*

Mateusz Machaj

Z żywym zainteresowaniem przeczytałem polemikę Łukasza Szostaka z recenzją Lumeriusza na temat *Borata*, filmu, który odniósł niespodziewany sukces na całym świecie i nie stał się przedsięwzięciem wyłącznie komercyjnym, ale wzbudził zainteresowanie również „intelektualnej” części publiczności, co sprawia, że nie sposób przejść koło niego obojętnie. Chociaż sercem jestem po stronie oponenta Lumeriusza (sam swego czasu doszukiwałem się wątków anarchistycznych w *Drużynie A*), to umysł każe mi niestety trzymać stronę samego Lumeriusza, zdaniem którego film ten nie jest godzien większej uwagi niż *Scary movie* (a może nawet mniejszej).

Opinia Łukasza Szostaka, że *Borata* można interpretować jako „przekrojowe” wysmianie amerykańskiego społeczeństwa jest ciekawa. I taka interpretacja byłaby faktycznie kusząca, gdyby nie fakt, że mimo wszystko jest interpretacją naciąganą. Nie mamy w filmie do czynienia z krytyką, lecz, co podkreślił jeden z recenzentów, ze swoistego rodzaju wskrzeszeniem dowcipów pokroju „Polish jokes”. Schemat jest stary, tylko granica smaku dużo bardziej przesunięta: zaprosimy do amerykańskiego społeczeństwa kompletnego chama, który spotykany na drodze przeciętnym obywatelom będzie na wszelkie sposoby uprzykrzał życie. A to nasz cham zakpi sobie z amerykańskiego szacunku do hymnu, a to będzie zaskoczony informacją, że kobieta musi się zgodzić na seks, a to będzie się po prostaku zwracać do feministek. Albo wejdzie do sklepu, w którym potłucze kilka waz, zrobi z siebie błazna w amerykańskiej telewizji, a na deser nadużyje gościnności poczciwych ludzi, łamiąc wszelkie tabu kulturowe na rodzinnej kolacji i da popis absurdalnych antysemitycznych uprzedzeń. Czy faktycznie zsumowanie tego typu incydentów może prowadzić do odbioru tego dzieła w taki sposób, w jaki sugeruje to Łukasz Szostak?

Scena, w której Borat jest gościem w domu typowych przedstawicieli klasy średniej nie jest moim zdaniem krytyką politycznej poprawności, czy wymuszonej integracji. Obrażani przez obscenicznego (choć sprawiającego wrażenie, że wszystko robi w dobrej wierze) gościa starają się zachować twarz, bo zgodnie (wcale nie z tradycją lewicową w końcu) ze starą zasadą gospodarza: „gość w dom, Bóg w dom”. Borat beczelnie tej gościnności nadużywa i doprowadza gospodarzy do granic wytrzymałości, co jest prostym zestawieniem chamstwa z dobrym wychowaniem. W moim przekonaniu nie jest to opowieść o kpinie z asymilacji innych kultur; jest to wyłącznie turpizm w czystej postaci: prostactwo, obrzydliwość, ohyda, ta „bliska krwiobiegu” i ponoć „realnego życia”, która zostaje wpuszczona do pięknego domu, a ty, tłumie, rechocz. Wszelkie sugestie o podtekstach dotyczących emigracji czy otwartości na inne kultury będą tutaj mocno naciągane.

Chętnie natomiast zgodzę się z panem Łukaszem w interpretacji sceny, w której Borat kpi z typowego, stereotypowego podejścia do problematyki terroryzmu. Ponadto, jeśli mnie pamięć nie myli, jest nawet gorzej, niż napisał – przy tekście o picciu przez Busha krwi irackiej ludności oklaski przybierają na sile! Ten jeden moment oraz udana scena spotkania z protestantami amerykańskimi daje zaledwie kilka minut filmu. Wyprawa w celu poproszenia Pamelii Anderson o rękę jest tym, czym jest, czyli głupkowskim ekscesem, który nie ma drugiego dna, jakim miałyby być powierzchowność amerykańskiego społeczeństwa (a przynajmniej twórcy nie daje żadnej wskazówki, która miałyby to sugerować. Poza tym: czy przeciętny Amerykanin jest bardziej powierzchowny niż przeciętny Europejczyk?). Faktycznie Borat pozostawia bez komentarza tępe zachowania amerykańskich nastolatków, podobne do zachowań niektórych bohaterów filmów w stylu *American Pie*. Natomiast samo spotkanie z feministkami nie było specjalnie pomysłowe (coż bowiem ma wyrażać zwrot Borata: *take it easy, pussycat?* Wyśmianie postawy, że każdy dyskutant zasługuje na szacunek?). W samym zaś hasle „nie ma tolerancji dla wrogów tolerancji” nie ma żadnej niekonsekwencji, a na pewno nie większa niż w stwierdzeniu „nie ma wolności dla wrogów wolności”.

Podsumowując, sadzę, że oponent Lumeriusza ma rację, gdy pisze, że twórcy *Borata* musieli wstawić do filmu typowe elementy, które kojarzą się z amerykańskim społeczeństwem. Musieli pojawić się protestanci, ludzie walczący o prawa kobiet, drobny sklepikarz, hotel trzygwiazdkowy, wystawy sklepowe, tłoczne ulice, *Baywatch*, motyw *road trip*, zdeklarowani geje, wizyta w stacji telewizyjnej (transmitowana na żywo), pobyt w domu przedstawicieli klasy średniej, spotkanie z wieśniakami z południa, śpiewanie hymnu, klnące nastolatki, amerykańscy Żydzi oferujący nocleg, kupowanie broni i samochodu. Niewątpliwie twórcy w celu umieszczenia Borata w amerykańskim społeczeństwie musieli dokonać jakiegoś niezbędnego przekroju społecznego i przyjrzeć się amerykańskiej gospodarce, sposobowi życia i kilku cechom, wyróżniającym Amerykę spośród innych krajów.

Jednakże na tym ich *research* się skończył. Po zidentyfikowaniu potrzebnych postaci i sytuacji, konfrontuje się je z postacią Borata i, co Lumeriusz skrupulatnie odnotował w swojej recenzji, jest to mało błyskotliwa konfrontacja, która ma na celu prymitywną dewastację grubiaństwem i nieobyciem, a nie krytyka finezyjna, inteligentna, czy wygłaszana przeciw pewnym ideologiom i zachowaniom (tak jak to ma miejsce na przykład u Stanisława Barei).

Pogląd, że Borat może dokonywać krytyki społeczeństwa, przypomina mi skecz Monty Pythona, w którym krytykiem sztuki jest osoba zjadająca obrazy wybitnych malarzy. Czy żeby zostać uznanym dzisiaj za krytyka faktycznie wystarczy na wszystko wkoło płuć? Czy nie jest przeholowaniem teza, że jeśli ktoś prostacko gardzi wszystkim wkoło, to jest wielkim kontestatorem współczesnego świata?